Nr. 30. Warszawa, dnia 11 (23) Lipca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Co będzie z Kubą?

Santjago poddało się. Zawiadomienie rządu waszyngtońskiego, rozlepione po ulicach stolicy związkowej d. 16 b. m. po południu uważać nakazuje tę datę za piętno czasu na wypadku wyciśnięte. Rokowania już umowne toczyły się od czwartku 14 b. m., przechodziły, jak zwykle, chwiejne koleje; ale ostatecznie dotarły do celu: wielkie emporyum nadmorskie Kuby leży u stóp Amerykanów. Przeszkodą główną była potrzeba ciągłego odwoływania się do Madrytu, Hawany i Waszyngtonu; dodatkowemi: niechęć wojska w okolicach Santjago, świadcząca dobrze o duchu wojennym; żądanie amerykańskie, aby układ ogarnął nietylko samo miasto, ale i całą prowincyę imię jego noszącą; i żądanie znowu hiszpańskie, aby wojsko odciągnąć mogło swobodnie po za terytoryum układowe, nie ruszając się z Kuby, a co najmniej, aby mu wolno było broń z sobą zabrać. Wszystkie te kolce na rozkwitającej róży pokoju sprawiały podczas układów przykrości i bóle przemijające; ale nie zdołały odstraszyć woli działania tak po jednej, jak po drugiej stronie: Hiszpanie widzieli konieczność, która może dla z zewnątrz patrzących koniecznością jeszcze nie była; Zjednoczeńcy amerykańscy radzi byli dobrać się do tryumfu bez nowych jeszcze wysiłków i ofiar. Umowa stanęła. D. 17 b. m. odbyła się ceremonia złożenia broni, dniem wprzódy jeszcze akt objęcia w posiadanie. Wojsko hiszpańskie pozostało w mieście aż do odpłynięcia.

To, co telegraf sepleni o podjęciu układów przez gen. Torala, zastępcę rzeczywistego dowódcy w Santjago, Linaresa—na własną tylko rękę i własną też odpowiedzialność — jest kłamstwem zmyślonem przez rząd madrycki dla ukojenia tłumu rozżalonego niepowodzeniem, a odczuwającego w narodzie zasób sił jeszcze nietkniętych, wystarczający do dalszej walki. Sagasta, po wyjściu ministrów, którzy wywołali przesilenie, zaznaczone tu w przeszłym tygodniu, postawiony napowrót u steru, z pełnym już teraz gabinetem, musi się z tą żałością i wiarą tłumu liczyć, a licząc się liczmanami pozorów mu płacić; w rzeczywistości czuje on daremność dalszej walki, nawet jej zgubność: im dłużej bowiem-by trwała, tem większe pociągnęłaby za sobą ofiary w przepaść niewątpliwego, ostatecznego pogromu. Rząd, który przez dwa dni ukrywał klęskę z d. 1 i 2 b. m., który o poddaniu się Santjago do 18 b. m. wieczorem nic jeszcze narodowi swemu nie powiedział, nie może nie zabawiać się w grę podwójną: dla siebie i dla innych — zresztą, cóż się w nią na tym świecie nie bawi? Toral miał jego upoważnienie odrazu, ale mógł nie mieć, i z pewnością nie miał odrazu, warunków ostatecznych, te bowiem rodzą się zazwyczaj dopiero podczas układów, na gorąco; stosuje się je do wymagań, do oporności i hartu strony przeciwnej. Właściwie układał się z Shafterem sam rząd madrycki, a robota szła mu jak z kamienia. Waszyngton nie pozwolił ani na odciągnięcie w głąb Kuby, ani na odpłynięcie do Europy z bronią w ręku; wymógł też poddanie całej prowincyi Santjago. Tylko ochotnicy otrzymali prawo rozejścia po kraju, wszakże bez prawa walczenia z Amerykanami. Z umowy wyłączono garnizony w Manzanillo nad morzem na północo-zachód od Santjago i w Holguin, wewnątrz kraju, na północ.

Powstańcy kubańscy wcale do rokowań, układów i umowy nic wpływali. W komisyi amerykańskiej, wyznaczonej przez Shaftera do ułożenia wespół z hiszpańską szczegółowych warunków i spisania inwentarza zobowiązań, czynności i spełnień koniecznych, nie było ani jednego Amerykanina. Od chwili poddania Santjago do d. 20 b. m. wieczorem żaden akt, bądź od dowództwa wojskowego, bądź od prezydenta Stanów Zjednoczonych wyszły nie powołał powstańców, Kubańczyków, do żadnej czynności publicznej, nie przyznał im praw publicznych do ziemi, którą umowa z pod Hiszpanii wyzwoliła. Doraźne tylko ogłoszenie oznajmiło, że władze prowincyonalne funkcyonować mają nadal jak dotychczas i to nietylko w całej prowincyi, ale i w samem Santjago. Oryginalnie brzmi doniesienie telegrafu, że gen. Shafter pilnie wojsku strzedz kazał okolic miasta, z obawy, aby powstańcy nie rzucili się do rabunku, gdy wojska hiszpańskie ustąpią. Może w Waszyngtonie przygotowują już jaki akt, mający Kubańczykom wyłożyć zamiary względem nich, jeśli nie istotnie żywione, to przynajmniej z zasady, że mowa służy do ukrywania myśli— narzucane przez praktyczny, do praktycznych celów prowadzący rozsądek; ale prawdopodobniejszą jest metoda zbywania pupilów-sprzymierzeńców milczeniem, dopóki warunki nieprzyjazne nie nakażą ust otworzyć, lub przyjazne znowu nie pozwolą wszelkich manifestacyj słownych, w tym lub owym duchu czynionych, zatopić w fakcie doraźnym, któryby już mógł być i ostatecznym i trwałym. Drażnienie nie-

tylko powstańców, ale ogółu Kubańczyków przedwczesnem zwierzaniem się z istotnych zamysłów byłoby nierozsądnem, jeżeli te zamysły są nieczyste; głaskanie ich kłamstwami byłoby zaś teraz jeszcze zbytecznem: dlatego milczą.

To ich milczenie samo przez się jest już złą wskazówką, a świadectwo historyi jeszcze jej złowrogiej powagi dodaje. Kto umiał przed rozpoczęciem wojny wydać takie ultimatum i taką proklamacyę, ten mógł po opanowaniu Santjago, bez deklamacyi, bez pustej frazeologii odezwać się choćby jednem słowem, wzbudzającem wiarę w przyszłość, do której pomyślny dotychczas bieg wypadków ludność pragnącą żyć u siebie według siebie niewątpliwie przybliżył. Państwo demokratyczne — a takiem przecież są Stany Zjednoczone — mogło było już teraz, po zajęciu całej prowincyi, wygłosić rdzenną zasadę wszelkiej demokracyi, że wyzwolone społeczeństwo samo o losach swych postanowi, a to zapomocą jedynego środka przekonywającego bezwzględnie, jakim jest głosowanie powszechne. Nawet obawa urządzenia się Kubańczyków w zupełnej odrębności od wielkiej rzeczpospolitej-wybawicielki nie uwalniała od tego kardynalnego obowiązku. Jakaż byłaby różnica między Tamerlanem lub Aleksandrem a rzecząpospolitą demokratyczną, gdyby ta równie jak oni opierała się na prawie podboju i, nie biorąc nawet pod jarzmo, choćby i zbawiać chciała, zbawiała przeciw woli tych, którzy ani jej, ani nikomu zgoła się nie zaprzedali, a dobrodziejstwa pomocy nie myśleli nigdy okupywać goryczą, jeśli nie niedolą, zależności?

Tydzień polityczny. Po poddaniu Santjago w Madrycie pomyśleli poważnie o pokoju. Dotychczas rokowania są jeszcze pośrednie i mają charakter wywiadowczy. Wypiera się i rząd hiszpański, wypierają i przyjazne mu wszelkich zamysłów i czynów zmierzających do pokoju; ale to rzeczy nie zmienia: choćby Mars miał gałązkę oliwną spalić, Hiszpania z nią Minerwę za próg wpuściła. Karliści zaczynają się ruszać, a to tylko popędzać może do zgody. Sagasta odbudował swój gabinet; nazwisk podawać nie warto, bo odbudowa nie potrwa długo. St. Zjedn. przygotowują nową eskadrę, aby wrazie przedłużenia się wojny wysłać ją ku pomorzom atlantyckim Hiszpanii. Na Filipinach wszystko bez [redacted].

Sąd przysięgłych w Wersalu skazał Zolę i Perreux'go w ponownem przez sąd kasacyjny nakazanem postępowaniu na kary w pierwotnem wymierzone. Powieściopisarz skazany na rok więzienia i 3,000 fr. kosztów. Przedtem skazał go jeszcze sąd w Paryżu na wynagrodzenie strat w zawodzie rzeczoznawcom pisma w procesie lutowym. Skazany nie [redacted] w obronie z wynurzeń Cavaigna'a o winie Esterhazego, z faktu uwięzienia tego niewątpliwego już niegodziwca; ale za to skorzystał z osobistej swobody i wyniósł ją za granicę. Po podróży do Skandynawii osiądzie w Brukselli. Lepiej było osiąść w więzieniu.

Ogłoszono nareszcie opracowaną przez posłów w Stambule i admirałów na Krecie nową organizacyę wyspy pod starem panowaniem Turcyi.

Książę Bułgarski d. 18 b. m. zawitał do Odesy, ztamtąd na Kijów podążył do Moskwy; będzie w Petersburgu.

Gen. Pelloux odroczył już sejm do listopada, wymógłszy na nim prawie wszystkie te środki prześladowcze, o które rozbił się Rudini.

Thun naradza się wciąż ze stronnictwami; w tym tygodniu wziął do obrobienia katolików z Austryi Wyższej, Tyrolu i Styryi. Niemcy nie ustępują, Węgrzy dodają im odwagi. *Pesti Hirlap* wręcz staje po ich stronie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PODATEK OD PRZEMYSŁU.

Dawno już zapowiadano wprowadzenie podatku państwowego od dochodu przedsiębiorstw, tudzież od płacy ich kierowników i uczestników. Myśl ta przez wiele lat przeszła najrozmaitsze fazy i poniekąd stała się znamienną cechą obecnych dążeń ekonomicznych u steru, mających na względzie popieranie przemysłu drobnego. Wieloramienna produkcya kapitalistyczna, ogarniając coraz szersze dziedziny, coraz bardziej wypierając przemysł drobny i rzemiosła, nie ponosi stosunkowo tak olbrzymich ciężarów, jak te drobne, wątłe odłamy produkcyi, skazanej w znacznej części na pochłonięcie, pierwej czy później przez kapitał wielki. Jego dążenia zaborcze i rozrost coraz szerszy, wytworzyły ten znamienny objaw: zubożenie pewnych warstw ludzi, wynikające z niewłaściwych urządzeń bytu społeczeństwa. Otóż postanowiono urządzenia te łagodzić rozmaitymi sposobami. Między innymi popieranie produkcyi drobnej ma być jednym ze skuteczniejszych środków.

Bądź co bądź, projektodawcy rządzą się tutaj zasadą sprawiedliwości. Pragną, ażeby podatek był rozłożony najracyonalniej: w stosunku do dochodu. Po za tem są jeszcze względy czysto fiskalne. Dotychczasowe systemy podatkowe, uciążliwe dla jednych, nieznaczne dla innych, dawały skarbowi stosunkowo niewielkie zyski.

Tego rodzaju podatek od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych usiłowano oddawna skierować na właściwsze tory, ale zawsze ze skutkiem niezbyt pomyślnym. Reforma prawodawstwa handlowo przemysłowego z r. 1824 wprowadziła wykup patentów handlowych, zamiast poborów procentowych od kapitału zakładowego. Za prawo prowadzenia handlu i za świadectwa od subiektów handlowych pobierano opłatę stałą. Opodatkowanie takie nie było zależne od obrotów handlowych, ale od pochodzenia i stanów właścicieli (szlachty, mieszczan, włościan). W r. 1865 wydano nowe prawo, nie o wiele wszakże zmieniające system poprzedni (zniesiono tylko pewne ograniczenia, dotyczące włościan). Nierównomierność opodatkowania pozostała i nadal. Wielkie przedsiębiorstwa płaciły zbyt mało, drobne — za dużo, skarb zaś miał z tych źródeł zaledwie 15 milionów rubli. W ostatnich latach zwrócono większą uwagę na tę niewłaściwość i w r. 1884 ustanowiono podatek dodatkowy od większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych w pewnym stosunku procentowym do czystego dochodu. Przemysł drobny i rzemieślniczy bez wynajętych robotników lub z jednym robotnikiem, uwolniono od podatku. Nadto zmniejszono pobory znacznie od kategoryi zakładów fabrycznych, przemysłowych i rzemieślniczych, mających mniej niż 10 robotników. Wogóle ta nowa reforma wprowadziła w Rosyi po raz pierwszy zasadę podatku dochodowe

Henryk Kistemaeckers.

CABRION.

Zupełnie niespodziewanie zobaczyłem go w jeden z owych dusznych wieczorów letnich, kiedy bulwary pełne przechadzających się mieszczuchów drażnią niewymownie. Przyjaciel zaproponował mi wycieczkę na Montmartre, szliśmy powoli, aż naraz wiedzeni jakimś kaprysem ludzi niemających nic do roboty, wstąpiliśmy do podejrzanego café-chantante o oknach różnobarwnych a osmolonych, rozbrzmiewającego skrzeczącymi akordami starego fortepianu.

W chwili, gdy siedliśmy przy stole, deszczułka, zawieszona u estrady, zapowiadała Cabriona, który też zjawił się niebawem. Fortepian zaczął znowu jęczeć.

Był on straszny, ten Cabrion.

Proszę sobie wyobrazić wielkie kanciaste ciało, okryte warstwą zwisających łachmanów, krzywe nogi, jedna łopatka wyższa od drugiej, pierś jak u kurczęcia, stopy ogromne, długie ręce z haczykowatymi palcami, nareszcie twarz bladą suchotnika, z dziwnym grymasem w wyrazie, z jakimś uśmiechem wymuszonym i żółte, wystające zęby. Ale i dwoje wielkich, czarnych oczu, wgłębionych w otoczone obwódką oczodoły, dwoje wielkich, czarnych, tragicznych oczu, w których gorzał płomień gorący, jakby w nich odbywał się ów proces spalenia resztki sił skazańca choroby.

Był on strasznym i przerażającym. Z owej twarzy szpetnej i poważnej, surowej, chociaż przeciętej dziwnym uśmiechem, biło silne wzruszenie i mimowoli budziła się w patrzącym myśl, że ta istota mogłaby być wielkim artystą na wielkiej jakiejś scenie już dla samej swej grozy.

Ledwie wszedł przed lampy, potężny śmiech wstrząsnął salą, od okrzyków zachwiał się prawie niski sufit. Wołano:

— Ach! Cabrion! — Brawo, Cabrionie! Pokaż nam swą mordę! — Hej, hej, poroniony! — Rozwijajże swoją szpulkę! — Będzie pyskowanie! — Jadłeś dziś, Cabrionie? No, powiedz, nie wstydź się! — Naprzód wiersze, hejże!

Blady, wyprostowawszy swoje okaleczałe członki, topiąc wejrzenie w próżni, z twarzą jeszcze bardziej wykrzywioną, chociaż usiłującą zachować obojętność na przycinki, nieszczęsny zaczął coś w ogólnej wrzawie. I mimo wszystko słyszałem: Mówił wiersze Lamartine'a.

I jak gdyby nic nie działo się wkoło, jakby nie brzmiał ani jeden z tych dzikich krzyków rozbestwionych słuchaczy, deklamował z przekonaniem. Głos jego panował nad sarkazmami, biegł nad wszystkiem, pełen intonacyi drżących, wzruszonych, albo wybuchów siły. Było coś opiecznego w postawie tego szaleńca — takim mi się wydawał — stawiającego czoło wrzaskom z pewnego rodzaju rozbrajającą wiarą w swą sztukę. Cabrion był pyszny i nikt w tej norze, gdzie grzmiały prostytutki i łobuzy, ludzie z okolicznych ulic, a nawet panicze, którzy tu zabłąkali się, szukając oryginalno-

go. Napotkała ona jednak opór większości komitetów giełdowych. Przytem i w sferach wyższych projekt ministra Bungego nie zyskał uznania. Opracowano więc nowy, który był podstawą do prawa (z r. 1885), ustanawiającego dwojaki podatek dochodowy: procentowy i zakładowy. Ale i ten system nie odpowiadał jeszcze całkowicie zadaniom właściwym. Opracowano więc obecnie i zatwierdzono nową ustawę podatku, która wejdzie w wykonanie w całej rozciągłości z d. 13 stycznia 1899 r., niektóre zaś punkty będą zastosowane już w roku bieżącym. Oto są główne zasady:

Państwowemu podatkowi przemysłowemu podlegają: 1) przedsiębiorstwa handlowe, w tej liczbie kredytowe i ubezpieczeniowe, pośrednictwo handlowe, oraz wszelkiego rodzaju dostawy; 2) przedsiębiorstwa przemysłowe, fabryczne, w tej liczbie górnicze, rzemieślnicze i przewozowe — i 3) osobiste zajęcia przemysłowe.

Wyjęte z pod nowego podatku: większa część przedsiębiorstw skarbowych, prócz kolei; dalej zakłady gabinetu Jego Cesarskiej Mości, instytucye Cesarzowej Maryi, zarząd duchowny, instytucye ziemskie i stanowe, towarzystwa rolnicze, instytucye dobroczynne, ubezpieczenia wzajemne, instytucye hygieniczne i lecznicze, zakłady naukowe, biblioteki, galerye i wystawy obrazów, wszelkiego rodzaju wydawnictwa prasowe i księgarnie po za obrębem stolic i miejscowości należących do pierwszej klasy, teatry, cyrki, artele z kapitałem zapasowym do 10,000 rs., najprostszy przerób produktów rolnych, wyrób wina, drobne zakłady rolnicze, produkcya złota, srebra i platyny, drobny przemysł włościański, sprzedaż hurtowa na giełdach wyrobów własnej produkcyi, żegluga na wodach wewnętrznych, warsztaty okrętowe itd.

Zasadniczy podatek przemysłowy opłaca się pod postacią świadectw przemysłowych, które należy wykupywać na każde oddzielne przedsiębiorstwo. Dodatkowy podatek przemysłowy obejmuje: 1) podatek od kapitału, ustanowiony dla towarzystw akcyjnych; 2) podatek procentowy od dochodu opłacany przez przedsiębiorstwa, które miały w danym roku więcej, niż 3% zysku czystego, przyczem stopa opodatkowania wzrasta stopniowo w miarę powiększania się rozmiarów czystego zysku i 3) podatek rozkładowy od przedsiębiorstw nieakcyjnych.

Dla poboru i sprawdzania podatku przemysłowego utworzony będzie przy departamencie handlu i przemysłu oddzielny urząd, złożony z urzędników ministeryum skarbu i przedstawicieli ministeryum spraw wewnętrznych, wojny, sprawiedliwości i rolnictwa, jako też kontroli państwowej, petersburskiego zarządu ziemskiego i miejskiego i ośmiu osób wybranych z grona komitetów giełdowych i urzędów kupieckich. Po za obrębem Petersburga zarządzanie podatkiem przemysłowym powierza się izbom skarbowym, z udziałem również przedstawicieli ziemstwa, zarządów miejskich, kontrybuentów dodatkowego podatku przemysłowego itd. Według tego samego wzoru tworzą się urzędy gubernialne i okręgowe do rozpatrywania zażaleń przeciwko postanowieniom izb skarbowych.

Projekt ten, po zastosowaniu w całej rozciągłości, niewątpliwie wpłynie na zmiany i pewne nowe ukształtowania się stosunków ekonomicznych w zakresie przemysłu i handlu. Będzie to jedno, dość duże i mocne ogniwo w łańcuchu tak zwanej reglamentacyi państwowej życia wytwórczo-wymiennego.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Walka o zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu. — Wynik „kompromisów." — Ofiary agitacyi w prasie. — Budzenie się świadomości śród Litwinów zachodnio-pruskich. — Polityka rządu pruskiego wobec Polaków.—Czy będzie dla nas groźnym w przyszłości system polityki „łagodnej."

Gwałt najświeższy i najbardziej krzyczący, gwałt, który hańbą niezatartą i niezmytą oblał Niemcy wobec świata cywilizowanego — zakaz zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, dotychczas jeszcze jątrzy opinię publiczną, społeczeństwo uczciwe trzyma ciągle w stanie podniecenia. Jak zaś dalece zapędzili się Niemcy w swojem barbarzyństwie, dowodzi szczere oburzenie na nich nawet ludzi nam niechętnych i nieżyczliwych, a nawet wrogo usposobionych. Komitet zjazdu odwołanego wysłał memoryał do pruskiego ministra spraw wewnętrznych, ale zdaniem naszem, memoryał ten jest za długi, a więc — za nudny dla „jego ekscelencyi"; następnie zaś kołatanie takie, pomimo stałych szans wywalczenia sprawiedliwości, jest do pewnego stopnia ujmą dla godności społeczeństwa naszego. Wprawdzie memoryał rzeczony kładzie nacisk na to, że zjazd przygotowywano dłużej, niż rok cały, że wiedziano o nim powszechnie i że zakaz policyjny przyszedł znienacka w chwili, gdy już wszystko było gotowe; taki jednak system opryszków pruskich nie oburzy p. ministra. Godnem jest uwagi określenie charakteru zjazdu, a więc ten wyjątek z memoryału uważamy za stosowne zacytować. Wiece naukowe polskich lekarzy i przyrodników już od lat trzydziestu stały się trwałą instytucyą naukową. Obecny miał być ósmym z kolei.

„Już w r. 1884 odbył się czwarty zjazd polskich lekarzy i przyrodników w Poznaniu bez jakichkolwiek niewłaściwości pod względem politycznym. Projektowany w tym roku zjazd jest pod względem programu i organizacyi analogicznym zjazdowi w r. 1884. Że ma charakter czysto naukowy, to wynikałoby dostatecznie już z tego faktu, iż tylko czysto naukowe wykłady są zapowiedziane, i to najmniej dwieście siedemdziesiąt. Stąd już więc jasną jest rzeczą, że przy takim nawale pracy uczestnicy w przeciągu 4 dni nie mieliby ani czasu na to, ani chęci do tego, żeby urządzać demonstracye polityczne. Nadto uwydatnia się zupełna bezbarwność pod względem politycznym charakteru zjazdu przez to, że z nim w połączeniu projektowaną jest wystawa lekarsko-hygieniczno-przyrodnicza, w której przeważnie firmy niemieckie zapowiedziały swój udział. Nareszcie, kiedy w niektórych pismach wyrażono obawę, że zjazd mógłby dać powód do demonstracyj politycznych, podpisany komitet oświadczył publicznie, że zjazd ma charakter czysto naukowy, który pod każdym względem będzie przestrzegany. Jak wielką podpisany komitet do tego oświadczenia przywiązywał i przywiązuje wagę, wynika stąd, że nietylko wszystkie wykłady, lecz nawet wszystkie przemówienia i toasty przy projektowanym obiedzie podlegać miały cenzurze jego. Komi-

---

ści, nikt nie pojmował, że Cabrion był pyszny.

Naraz, skończywszy swoją tyradę, skłonił się i chciał opuścić „scenę." Pomarańcza, rzucona z głębi sali, rozpłaszczyła się w tej chwili na jego ogolonej twarzy, a zgiełk wzmógł się bardziej.

— Jeszcze, Cabrionie, jeszcze. — Chcemy mieć dosyć za swoje pieniądze!— Bis! bis! — Coś z Wiktora Hugo! hę? — Chcesz jeszcze jedną pomarańczę, Cabrionie?

Wtedy ujrzałem rzecz nie do uwierzenia. Cabrion otarł sobie spokojnie twarz rękawem i wracając spokojnie na przód estrady, z tą samą pozą pełną uniesienia, bledszy niż przed chwilą, z oczyma czarniejszemi i bardziej błyszczącemi, zapatrzonemi jeszcze dalej w próżnię, zadeklamował inny poemat.

Było to straszne, było to okrutne. Ja i przyjaciel, obaj dławiąc się, wyszliśmy. Już przy samych drzwiach pieczary zauważyliśmy wspartą o mur, schowaną w cieniu kobietę.

Suchutka, także blada, o rysach dziwnych, przypominających rysunki Repsa; z długimi włosami, w łatanem odzieniu, z chustką na szyi, jedna z tych, co zasilają „morgę."

Wyprostowana, z oczywistym wyrazem podziwu, rozlanym na całej twarzy, patrzyła jak w obraz, w Cabriona.

Instynktownie domyśliłem się dziwnej historyi. I przestąpiwszy próg, prosiłem przyjaciela, aby skrył się wraz ze mną i czekał.

Miałem słuszność. Za kilka minut kobieta wyszła także i spieszyła w poprzek ku małej uliczce, nad którą jak na pośmiewisko wywieszony był napis: „Wejście artystów" i z której wyszedł właśnie Cabrion.

Wzięła go pod ramię. Przycisnęli się do siebie, jak para kochanków z sielanki. Szliśmy za niemi niby przypadkiem — i słyszałem:

— Zwierzęta, o, zwierzęta!.. — mówiła ona znużonym, ochrypłym i syczącym głosem kobiet publicznych o zużytej piersi.

— Cóż chcesz? — odpowiedział Cabrion głucho. — Oni z tego nic nie rozumieją.

— Byłabym ich pozabijała! Bestye!

— At, co tam.

— Biedny ty mój! To jednak nie może tak trwać długo.

Nastąpiło milczenie. Potem ozwał się głuchy, smutny głos Cabriona:

— A tobie czym się podobał, *moja bogdanko?*

— O, tak! Byłeś taki piękny.

— Niczego więcej nie żądam.

* * *

Poszedłem dziś do café-chantante, chciałem zobaczyć Cabriona i kobietę.

W chwili, gdy otworzyłem drzwi, wszyscy śpiewali chórem zgodnie z jakąś ulicznicą, strojącą miny na scenie, rodzaj trenu:

Wyciągnął racicżki, ach bis, bis
De profundis.

I po każdej strofce pokładano się ze śmiechu.

Od ośmiu dni ów tren był — jak objaśnił mnie mój sąsiad przy stole — specyałem.

tet jest zatem zupełnie może zapewnić, że jakimkolwiek tendencyom demonstracyjnym niktby nie pobłażał, raczej odpartoby je jak najenergiczniej."

„Należy tu jeszcze jedną wspomnieć okoliczność. W rozmaitych pismach twierdzono, jakoby zjazd polskich lekarzy i przyrodników w Poznaniu był tylko manewrem, przez czeskich polityków obmyślanym na to, żeby pod maską nauki zająć się agitacyami panslawistycznemi w obrębie rzeszy niemieckiej. Po tem, co się powyżej powiedziało, jest właściwie rzeczą zbyteczną odpierać jeszcze należycie tę insynuacyę. Ale jeśliby z tej okoliczności, że także czescy lekarze — profesorowie uniwersytetu i docenci w liczbie zaledwie 20 — chcą brać udział w zjeździe, chciano cośkolwiek wnioskować, trzeba na to odpowiedzieć, iż dotychczas w każdym zjeździe polskich lekarzy i przyrodników brali także udział czescy lekarze w większej lub mniejszej liczbie, bez naruszenia kiedykolwiek w jakikolwiek sposób czysto naukowego charakteru tych zjazdów. To dotyczy mianowicie także zjazdu odbytego w Poznaniu w roku 1884. Znamienną jest też i ta okoliczność, że pisma, znające najlepiej stosunki miejscowe: *Posener Zeitung*, *Posener Tageblatt*, nie solidaryzowały z podnoszeniem owej insynuacyi, co z uznaniem zaznaczyć należy. Pismo, najpierw wymienione, nawet po ogłoszeniu przez podpisany komitet powyżej wspomnianego oświadczenia, wyraźnie życzyło mężom nauki, których miasto Poznań chętnie powita w swych murach, licznego grona współuczestników i owocnej działalności w celu popierania ich dążeń idealnych i pożytecznych dla ludzkości, a oba pisma wyraziły to przekonanie, że wypowiedziane w oświadczeniu komitetu zasady będą sumiennie wykonane."

W dalszym ciągu memoryał zaznacza, że ten niepraktykowany w świecie cywilizowanym zakaz zadał gwałt postępowi nauki, pod względem zaś materyalnym wyrządził wielkie straty. Pomimo wyluszczenia tych wszystkich okoliczności, buldogi prasy niemieckiej z całą zaciekłością wpiły się w memoryał, usiłując go tak poszarpać i zapienić, ażeby minister czasem nie dał się przekonać i nie poszedł drogą sprawiedliwości. Chodzi im jednak nietylko o dochowanie zakazu w granicach państwa niemieckiego, ale nawet o wywołanie takich środków brutalnych w sąsiedztwie. *Hamburger Nachrichten* krzyczą na gwałt, że „wobec energicznej postawy władz pruskich rząd austryacki chyba nie ścierpi tego wielkopolskiego wyzwania w swych posiadłościach polskich."

Kwestya wyborów nie ucichła, przeciwnie — rozdmuchano ją obecnie dość silnie. Wypowiedziano protest przeciwko tym, którzy zalecali w okręgach „beznadziejnych" tak zwane kompromisy z Niemcami. Pomimo przestróg, władze wyborcze, zapominając o niejednokrotnych policzkach i meczugach pruskich, postanowiły, ażeby lud polski głosował na kandydatów niemieckich w trzech okręgach: leszczyńsko - wschowskim, babimojsko-międzyrzeckim i czarnkowsko - chodzieckim. Dzięki tej taktyce uginania karku, liczba posłów polskich znacznie się zmniejszyła, głosowanie zaś na Niemców nie wpłynęło dodatnio na poczucie narodowe w masach ludu polskiego. Posłuchajmy, co w tej sprawie mówi *Orędownik*: „Ci katolicy-Niemcy, na których kazano ludowi polskiemu głosować, dali nam przy tegorocznych wyborach dotykalną naukę, żeśmy się powinni nawet wobec nich cofnąć na wyłączne stanowisko narodowe, bo Niemcy-katolicy przed wyborami, podczas wyborów i po wyborach zwalczają świadomość narodową w masach ludu polskiego. Dowodem na to służy Warmia i Górny Szląsk. Wykluczenie wszelkiego kompromisu nawet z Niemcami-katolikami, nie wyklucza bynajmniej solidarnej obrony interesów kościoła katolickiego przez posłów polskich razem z centrum w sejmie i parlamencie niemieckim. Tam mogą posłowie polscy iść razem z Niemcami-katolikami, w domu jednak, w kraju, przy wyborach — nie."

Przeciwko kompromisowi tego rodzaju występuje również *Gazeta Toruńska*. „W Prusiech Zachodnich Polacy mają trzy mandaty pewne, bez pomocy centrowców katolickich, a centrowcy bez głosów ludu polskiego nigdzie nie przejdą. Jeżeli mimo to chcieliby nam odmówić prawa do stawiania kandydatów w okręgach naszej prowincyi, nie świadczy to o ich sile."

„Nie mamy do nich wcale żalu, że nie chcą głosować na Polaka, ale *Kuryer Poznański*, który nie godzi się na to, aby stutysięczny zastęp Polaków w Westfalii i Nadrenii głosował na Polaków, powinienby centrowcom zachodnio-pruskim zganić wyrywanie się z własnymi kandydatami, zamiast im przyznawać racyę. Polacy nie myślą tu kapitulować wobec mniejszości katolików niemieckich, których narodowości nie grozi niebezpieczeństwo; nigdy też za kilkaset ich głosów nie poświęcimy tysięcy ludu polskiego. Za poparcie w naszych stronach możemy się centrowcom dostatecznie odwdzięczyć na zachodzie, ale tu w pierwszem głosowaniu zawsze będziemy oddawali kartki polskie, czy się to *Kuryerowi Pozn.* podoba lub nie podoba, bo tak nakazuje wzgląd na nasz byt narodowy."

Dziś już wiemy, że do pomyślnego wyniku wyborów w ziemi opolskiej przyczyniła się w znacznej mierze *Gazeta Opolska*. Ale, niestety, praca ta musiała być okupioną ofiarami. Ulubieniec ludu, kierownik powyższej gazety, p. Bronisław Koraszewski, został skazany na osiem miesięcy, a redaktor odpowiedzialny, p. Melcer, na sześć tygodni więzienia. Zamykanie wszakże w więzieniach i skazywanie na wysokie kary pieniężne wydawców i redaktorów pism polskich pod rządem pruskim należy do powszednich spraw życia. Prawdziwą i stałą ofiarą jest p. Karol Bahrke, redaktor i wydawca *Gazety Ludowej*, który dla potomności stanie się jakąś postacią męczeńską w dziejach ucisku cywilizacyi.

Wybór jednego posła narodowo-litewskiego wywołał straszliwą wrzawę w prasie niemieckiej. Jak wiadomo, Litwa wschodnio-pruska od dawien dawna jest siedliskiem patryotyzmu pruskiego. To też od chwili powstania nowej rzeszy niemieckiej ludność okręgu kłajpedzko szyłokarczemskiego stale wybierała hr. Moltkego posłem do parlamentu, po śmierci zaś tego męża przelała zaufanie swojej ciemnoty na hr. Waldersee. Ale oto śród Litwinów wschodnio-pruskich powoli zaczęła się budzić świadomość narodowa i rozpraszać te mroki, przez krzyżactwo nagromadzone. Postanowili tedy porzucić służbę panom w Berlinie i wybrali już po raz wtóry swojego. Zastrzegają oni, że pozostaną nadal patryotami pruskimi, ale że tylko chcą przez wybór własnego posła uzyskać możność upominania się o prawa swego języka. Ale pomimo takich zastrzeżeń, fakt ten wywołał ogromne oburzenie śród dziennikarzy i różnych powag niemieckich. Między innymi Paweł Tschakert, profesor teologii ewangelickiej przy uniwersytecie w Getyndze, twierdzi, że narodowości nie-niemieckie w Prusiech za długo były karmione miodem, że należy nareszcie przedsięwziąć środki ucisku przeciwko Litwinom. Wtórują mu inni wielkimi i cobrypłymi ze złości głosami.

Jak dalece system polityki pruskiej razi swą brutalnością i gwałtami, najlepiej świadczą głosy tych organów prasy niemieckiej, które nie żywiły i nie żywią żadnej dla nas przyjaźni. Nawet taka nieprzychylna zawsze dla Polaków berlińska *Vossische Ztng* w artykule p. t. „Polityka rządu pruskiego wobec Polaków," zdobyła się na „bezstronność": „Ks. Bismarck, który od pierwszego wystąpienia na polu politycznem nigdy nie ukrywał głębokiej niechęci dla Polaków, przed laty dwunastu usiłował stawiać przeszkody wzmacnianiu się narodowości polskiej. Według zwykłych metod swoich, stosowanych w zdobywaniu celów wielkich, i tym razem użył silnych środków mechanicznych. Książę, który wpływ kościoła katolickiego usiłował złamać przez *kulturkampf* za pomocą środków policyjnych, który wzrost demokracyi socyalnej chciał powstrzymać przez ustawę socyalistyczną, użył tej samej metody i do Polaków, tj. ogłosił mnóstwo ustaw antipolskich. Ale już czas powinien był chyba dostatecznie przekonać o bezowocności takich środków.

Polak, który swój majątek sprzedał za wysoką cenę Niemcowi, używa pieniędzy stąd zyskanych na to, żeby od Niemca kupić majątek za cenę mierną. Polacy silniej się łączą, odwracają się od Niemców i podwajają zabiegi w celu pielęgnowania swego języka i swojej kultury. Uczucie, że są upośledzeni i krzywdzeni wobec prawa w ich konstytucyjnie zastrzeżonem równouprawnieniu, wzmacnia ich siłę.

Opatrzność tylko rozstrzyga, jak poszczególne narodowości mają się rozrastać lub wymierać; jest to wyłącznie jej prawo, którego nie pozwala sobie ograniczać. Próba kierowania ewolucyi duchowych środkami materyalnymi nie powiodła się znowu... Tak być musiało.

Uważamy za jedynie rozsądne i słuszne: traktować pruskich poddanych, używających języka polskiego, jako obywateli państwa i nie troszczyć się o to, że swojej a nie niemieckiej używają mowy, skoro spełniają swoje obowiązki państwowe."

Zacytowaliśmy ów głos już nie pierwszy w tym duchu, ażeby wskazać znamienny zwrot ku krytycyzmowi, który usiłuje gnębicielom obcych ras otworzyć oczy i przekonać ich, że system dotychczasowy przyczynił się do wytworzenia oporności narodowej, a więc poprostu był i jest niebezpiecznym dla sprawy niemieckiej. Cieszmy się, że zanim polityka pruska usłucha głosów tego rodzaju, wzmocni ona do tego stopnia naszą oporność narodową, uświadomi w odrębności i żywotności plemiennej niezupełnie jeszcze uświadomione masy ludu w prowincyach polskich pod panowaniem pruskiem — że nawet zwrot, dokonany wedle wskazówek i oświetleń powyższych, nie będzie już zgubnym dla naszej narodowości.

HERCULES CONTRA PLURES.

Jedno z najbardziej opozycyjnych czasopism niemieckich nazwało świeżo Zolę Wolterem XIX w. Może nazwa to niewłaściwa, lecz charakterystyczna ze względu na pobudki. Naukowy organ grupy krańcowo usposobionej, więc bynajmniej nie skłonnej do wkładania na czyjąś głowę niezasłużonych wawrzynów, tem oświadczeniem pragnął zaznaczyć, że jak ongi Wolter ostrzem dowcipu swego podważył fundamenty *ancien régime'u*, tak samo Zola rzucił wyzwanie porządkowi mieszczańskiemu. Pisarz francuski posiada bardzo mgliste pojęcie o stosunkach społecznych przyszłości oraz o siłach dziejowych, dążących do rozwiązania niedomagań dzisiejszych. Ale gdy chodzi o zgniliznę doby naszej, o potęgi złowrogie, ciążące na dalszym pochodzie Francyi, Zo-

ła wie, komu cisnąć rękawicę i ma śmiałość to zrobić.

W ostatnich czasach położył on całe swoje imię na szali wypadków. Nie uląkł się ani tłumów drobnomieszczaństwa, które chciało go utopić w wodach Sekwany, ani krzyków szowinizmu militarnego; obrzucającego jego osobę potwarzami, ani wreszcie utraty popularności. Jeden przeciw tysiącom — walka bardzo nierówna! Za pieniądze takich szermierzy dostać niepodobna. Trzeba na to posiadać głęboką wiarę w coś i żywe uczucie pogardy dla nadużyć.

Jednym z czynów jego jest wystąpienie w obronie Dreyfusa. Może niesłusznem jest powiedzenie: „w obronie,“ bo chodziło tam o coś zgoła innego. Czy skazaniec, wysłany na wyspę Czarcią, popełnił zarzuconą mu zbrodnię lub nie, jest rzeczą niezbadaną, którą tylko sumienniejsze dochodzenie sądowe wyświetlić zdoła. Natomiast nie ulega najmniejszej wątpliwości, że skazano go w sposób, wołający o pomstę—na podstawie dokumentów, które przedstawiono potajemnie i może nie przedstawiono sędziom, których wreszcie nie pokazano oskarżonemu ani jego obrońcy. Francya jest rzeczpospolitą, sąd powinien być tam jawnym, siła zbrojna nie powinna stać nad ludem, ani przeciw ludowi. Sąd, jaki się odbył, był uświęceniem samowoli, Zola wystąpił właśnie przeciw temu. Od czasów wojny prusko-francuskiej, w ciągu całej ćwierci wieku nieustającego wzrostu militaryzmu, nie moglibyśmy wskazać energiczniejszego protestu, wymierzonego przeciw niemu. Jeśli w walce tej dojdzie do rewizyi procesu Dreyfusa, będzie to przegrana moralna militaryzmu; jeśli nie, jego przeciwnicy będą zwyciężeni. Hasła „honor Francyi,“ „godność armii“ nie mogą równać się z tem, czegoby Zola dopiął: przyznania jawności rzeczy pospolitej. Są to okrzyki interesu chwilowego, wówczas gdy jego dzieło byłoby trwałą zdobyczą postępu.

Podczas starcia namiętności, wywołanych przez wskrzeszenie sprawy Dreyfusa, nowy utwór Zoli, *Paryż*, ukazał się na wystawach księgarskich. Jakiemi są zalety lub wady artystyczne tej powieści, jest to z punktu społecznego rzecz podrzędna. Najważniejsza, że w *Paryżu* wymierzono policzek już nie jednej instytucyi, ale ogółowi urządzeń: panowanie giełdy nad społeczeństwem, korupcya parlamentarna i sprzedajność prasy, nierząd fizyczny i moralny mieszczaństwa, zdechlactwo arystokracyi rodowej, słowem całe życie publiczne znalazło się pod pręgierzem. Nikogo tam nie oszczędzono: Zola nie gnie się przed możnowładcami plutokracyi, ale ciska im w oczy pogardą, nie prawi pochwał „modernizmowi,“ który aż nazbyt często jest świadectwem bankructwa moralno-społecznego tych, co „robią“ literaturę, nie dba o sprzymierzeńców i poklaski, bo napada warstwy, od których poklask ów zależy.

To „dzisiaj“ Zoli datuje się oddawna. Jest ono koniecznem ogniwem założenia, które przywodziło mu przy pisaniu całego cyklu utworów. Zarzucano Zoli pornografię i lubowanie się w brudach. Ale pornografia Zoli, jeśli już tak koniecznie nazwać ją trzeba, odznacza się osobliwym charakterem: odarta ze złudzeń, przedstawiona w nagiej, nie-estetycznej rzeczywistości postradała żądło swoje, jakie posiadała pod przykryciem listka figowego i osłoną z muślinów. Kto daje mi błoto do ręki i każe powąchać je, kto nie opromienia go kolorami tęczy, ten nie uwodzi umysłów, nie podnieca żądzy, nie pcha na manowce.

K. R. Z.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Bezcelowy protest.

Komitet zakazanego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu odwołał się do ministra spraw wewnętrznych z protestem przeciwko rozporządzeniu władz miejscowych. Cel tej apelacyi może być dwojaki: albo komitet mniema, że wyższa instancya nie wiedziała o postanowieniu niższej lub była źle przez nią poinformowana, albo też chciała nadać niesprawiedliwości większy rozgłos. W pierwszym wypadku widzielibyśmy ciągle powtarzający się objaw owego złudzenia, które w dziecięcej naiwności przypuszcza, że w Berlinie siedzi niepokalana żadną stronnością Temida, którą prowincyonalni jej kapłani okłamują i namawiają do użycia miecza tam, gdzie powinny być zastosowane tylko jej rzetelne wagi. Tymczasem niezliczone fakty dowiodły, że głowa administracyi pruskiej doskonale wie, co robią jej nogi i ręce, że one spełniają ściśle jej wolę. Zatem — szkoda atłasu na protesty. Jeżeli zaś chodziło o względy taktyczne, o zawieszenie krzywdy u dużego dzwonu, to i taki zamiar nie wart był trudu dlatego, że i bez niego zakaz rozbrzmiał dość szeroko. Jakiż teraz będzie prawdopodobny rezultat starań? Minister spraw wewnętrznych, którego nienawiść do Polaków jest znana, odpowie apelującym, że władze miejscowe postąpiły prawidłowo i w zgodzie z postanowieniem wyższych, gdyż zjazd lekarzy dałby powód do demonstracyj politycznych, jego uczestnicy zagraniczni wyszliby po za pole naukowe itd. — Znamy tę śpiewkę, której twórcą jest Bismarck.

Droga prawnej obrony, droga odwoływania się „od ministra źle poinformowanego do tegoż ministra lepiej poinformowanego“ — jak mówią Niemcy — jest bardzo właściwą, a nawet konieczną, o ile nie wykazała dowodnie swej bezskuteczności i o ile rzeczywiście „lepsze informacye“ mogą liczyć na dobrą wolę i wiarę. Ale skoro tak nie jest, po co daremnemi apelacyami podtrzymywać w społeczeństwie złudzenie, że one mają jakąś wagę, że figury posuwają się na szachownicy własną siłą i rozumem, a nie ręką gracza? W każdej sprawie lepiej widzieć samemu i pokazywać innym rzeczywistość jasno i trzeźwo, niż ją zaciemniać bodaj na chwilę.

Słowa i słowa.

Od czasu budowy i częściowego otwarcia kolei Syberyjskiej, odzywają się u nas ciągle głosy, wzywające handel i przemysł do skorzystania z tej nowej arteryi ruchu. Dowiedziono już niezbicie, że moglibyśmy zająć poważne miejsce na rynku syberyjskim, że trzeba działać spiesznie, że agenci firm zagranicznych już się tam pojawili, że wystąpilibyśmy w lepszych warunkach, niż oni itd. Wszystko to już powiedziano i uzasadniono. Obecnie znowu rzucił wymowną pobudkę z Tomska p. J. Jaksa Małeszewski w *Kuryerze Warszawskim*. Przedstawiwszy pożytek starań, zamyka on swój obszerny wywód następującemi radami: 1) należy wybrać delegatów z pośród kupców i przemysłowców, którzyby zbadali warunki handlu w Syberyi; 2) zawiązać w celach handlowych spółki i stowarzyszenia, gdyż siły jednostkowe nie podołają zadaniu; 3) wprowadzać towary stopniowo w różnych okolicach; 4) otwierać na miejscu hurtowe składy towarów z Królestwa Polskiego; 5) zakładać tam fabryki.

Program doskonały, ma jednak tę wielką wadę, że wymaga czynów, i to czynów zbiorowych, usiłowań zorganizowanych, co zwykle przechodzi nasze uzdolnienia. Więc nie pozostaje nam nic innego, jak gadać i pisać możliwie dużo, rozważać możliwie długo, co najmniej dotąd, aż inni nas ubiegną w robocie i oświadczą, że możemy się nie fatygować, bo oni nas wyręczą. Nasz impet do puszczenia się na kolej Syberyjską i opanowania rynków azyatyckich jest tak wielki, że gdy niedawno jakiś zdun ogłosił w jednem z pism, że mu się wyprawa na Syberyę nie powiodła, stanęliśmy jak wryci, a oprzytomniawszy, zaczęliśmy znowu zdobywać Syberyę... słowami. Głupsi od nas Francuzi, Niemcy, Anglicy nie zważają na przestrogi swych pionierów i chociażby ich odstraszał tysiąc zdunów, oni pędzą na każdy nowy rynek i podobno robią dobre interesy. Ale my nie grzeszymy taką lekkomyślnością i co najwyżej pozwalamy fabrykantom tandety warszawskiej, ażeby nią zalewali Wschód i dyskredytowali nasz przemysł. To jest bezpieczniejsze i rozsądniejsze, niż wysłać zdolnych agentów, zawiązać spółki i walczyć dobrym towarem.

Wstrzemięźliwość.

Z różnych stron prasa warszawska odbiera doniesienia o zamknięciu szynków monopolowych na prowincyi z powodu braku spożywców. Ponieważ kuratorya wstrzemięźliwości nie zostały jeszcze u nas zaprowadzone, więc objaw ten nie może być skutkiem jakichś wpływów moralnych, lecz musi mieć przyczyny materyalne. Jedni dowodzą, że wódka monopolowa ludowi naszemu nie smakuje, dlatego on od niej się odwraca; drudzy twierdzą, że odkąd karczma przestała być miejscem zabaw, straciła dla swych gości siłę przyciągania. Przypuszczenie pierwsze nie wydaje nam się zasadnem. Lud nasz nie pijał nigdy wódki dobrej, gdyż szynkarze albo mu ją rozcieńczali wodą, albo zaprawiali rozmaitemi domieszkami. Czego tam w tej miksturze nie było! Pieprz, witryolej, piołun, przeróżne gorzkie odwary. Słuszniejszem natomiast jest mniemanie drugie. Pomijając jakieś szczególne warunki lub miejscowości, rzec można, że pijaństwo nie przedstawia śród ludu polskiego wady głęboko zakorzenionej. Widok pijanego chłopa na wsi, wyrobnika lub rzemieślnika w miasteczkach, nie należał nigdy do częstych. Zwykle przebierano miarę na weselach, chrzcinach, jarmarkach, słowem tam, gdzie się nadarzyła sposobność do poczęstunków w zebraniu i zabawie. Gdy zaś karczma przestała być ogniskiem owych zgromadzeń i rozrywek, gdy jest dziś tylko sklepem, w którym można kupić flaszkę wódki dla wypicia na dworze lub we własnym domu, kieliszek nie stanowi już ponętnego źródła rozkoszy. Do tej okoliczności dodać trzeba dwie inne: naprzód usunięcie z szynków piwa, które lud nasz zwłaszcza w ostatnich latach spożywał chętnie i obficie, a powtóre biedę. Wprowadzony na miejsce piwa „kwas“ nie zastąpi go, zwłaszcza że jest fabrykatem najnędzniejszego rodzaju, wyrabianym nieudolnie i nieuczciwie przez spekulantów oszustów. Bieda zaś nie pozwala nabywać całych butelek wódki i płacić za szkło. Wszystko to razem odstręcza masy ludowe od szynków, z czego tylko cieszyć się możemy. Wybierając między małem dobrem, jakie człowiekowi fizycznie pracującemu daje umiarkowana ilość alkoholu, a wielkiem złem, jakie mu wyrządza pijaństwo, wolimy się wyrzec korzyści w zamian za nienarażanie się na szkod-

Zanim bliższa obserwacya zanalizuje przyczyny zamykania sklepów monopolowych, radujmy się skutkami.

Pogotowie ratunkowe.

Dr. J. Zawadzki przedstawił w osobnej broszurze dotychczasową działalność Pogotowia ratunkowego w Warszawie. Trzeba przyznać, że wbrew powolnemu rytmowi wszystkich naszych przedsięwzięć społecznych, to powstało szybko, rozwija się pomyślnie i oddaje wielkie usługi. Dość powiedzieć, że w ciągu roku udzieliło ono pomocy w 3,000 przeszło przypadkach, które bez niej miałyby niewątpliwie przebieg gorszy, a nieraz tragiczny. Każdą instytucyę publiczną oceniać należy ze względu na jej użyteczność czasową i trwałą. Otóż Pogotowie stoi w rzędzie tych, które mają zapewnione istnienie wieczyste. Jakikolwiek będzie stan społeczeństwa, jakakolwiek organizacya jego środków ratunkowych, zawsze będą się zdarzały nieszczęśliwe wypadki i zawsze będzie potrzebna natychmiastowa w nich pomoc. Największy postęp wiedzy i bezpieczeństwa życia nie zapobiegnie temu, ażeby ktoś nie uległ na ulicy atakowi apopleksyi lub nie spadł z wysokości i nie złamał nogi. Nie wypowiemy tu żadnego paradoksu, twierdząc, że Pogotowie ratunkowe przeżyje wiele instytucyj, które nam dziś wydają się wiecznotrwałemi, że wtedy, kiedy po rozmaitych bankach, stowarzyszeniach itd. nie pozostaną żadne ślady, ono ciągle spełniać będzie swe szlachetne zadania. Sądzimy też, że wkrótce za przykładem Warszawy pójdą inne miasta, że one obejmą w zakres swej działalności sąsiednie wsie, że wogóle kraj pokryje się kiedyś siecią stacyj ratunkowych. Jak dziś mamy straże ochotnicze przeciwko pożarom, tak w przyszłości powstaną straże, dające doraźną pomoc i opiekę ludziom w nagłych wypadkach choroby lub kalectwa. To leży w logice rzeczy. Pamiętając zaś o tem, uczyńmy nasze Pogotowie warszawskie przedmiotem szczególnego poparcia i nie uważajmy go za rozrywkę, przeznaczoną na to, ażeby nas przez parę lat pobawiła i znikła.

Redakcye nożyczkowe.

Zdawało się, że prasa warszawska miała za dużo młotków, którymi wbijała też same gwoździe w głowy swoich czytelników. Jeżeli reporter, będący wspólnym mianownikiem wielu pism, zdobył jakąś świeżą wiadomość, to z pewnością w jednobrzmiącej formie powtórzyły ją wszystkie dzienniki. Nieraz można dojść do rozpaczy: co otworzysz gazetę, to znajdujesz w niej: „Trzeci most na Wiśle został już zdecydowany," albo: „Dworzec centralny nie będzie zbudowany, lecz koleje będą zjednoczone w dwóch" itd. Toż samo w doniesieniach zagranicznych: pięć dzienników powie ci kolejno: „Przebywający w Tarnowie kat ma cerę ciemną, budowę krzepką" itd. Toż samo w konceptach humorystycznych. Przypuszczamy, że prenumerator kilku pism wołał nieraz: „panowie Jowialscy, na litość, już znamy tę bajkę!" Jak gdyby owych powtórzeń było za mało, jak gdyby należało jeszcze bardziej utrwalać w pamięci czytelników sprawę dworca lub wygląd kata, wzięły się do tej operacyi pisma prowincyonalne. Powstały nowe, a starsze pomnożyły ilość papieru. Ażeby zadość uczynić zwiększonej potrzebie materyału, puszczono w ruch nożyce, których praca redakcyjna jest zdumiewająca. Dzięki temu wiadomości, które przedtem wychodziły w sześciu edycyach, obecnie wychodzą w dziesięciu. Jowialski, który opowiadał swoje bajki kilka razy, teraz opowiada je kilkanaście. Do czego to doprowadzi?

Pożądana reforma.

Według zapewnienia *Now. Wr.*, ma być przejrzana ustawa tak zwanych kuratoryów trzeźwości ludowej, głównie w celu zwiększenia liczby członków, zajmujących się sprawami społecznemi. Jest to zwrot bardzo ważny. Dotychczas działalność owych kuratoryów nosiła charakter czysto administracyjny; społeczeństwo oświecone stało na uboczu. Nawet w raportach urzędowych uskarżano się na to, że jeden z najgłówniejszych warunków skutecznego działania tej organizacyi—oświata, pod postacią odczytów, pogadanek, bądź książek i szkoły — nie mogła się przedrzeć przez sieć czysto miejscowych utrudnień formalistycznych. Pozostawała więc tylko strona administracyjno-prawna, która także zapowiadała się i u nas, jak widzimy ze składu kategoryi osób, mogących uczestniczyć w kuratoryach. Już przed kilku tygodniami zaznaczyliśmy w *Prawdzie* niezbędny warunek: udział społeczeństwa, jeżeli chodzi o moralne i umysłowe oddziaływanie na lud. Następnie takie same żądania wypowiedział *Warsz. Dniewn.* Jeżeli istotnie sprawdzi się zapewnienie *Now. Wr.*, to dopuszczenie ludzi światłych, zajmujących się sprawami społecznemi, przyniesie wyniki pomyślne, bo chociaż złe nie da się całkowicie usunąć, to przynajmniej w znacznym stopniu będzie złagodzone.

„Myśliwi."

Do liczby szkodników w ostatnich czasach przybył nowy gatunek, tak zwani myśliwi, przeważnie niedzielni, na terytoryach siedzib letnich, głównie nad Świdrem, w okolicy Jarosławia. Chodzą oni po całych dniach, niszczą ptactwo śpiewające i wogóle pożyteczne. Skutkiem tego dziś okolica z natury uboga i jałowa, umilkła. Ptactwo w części wytępione, w części zaś wystraszone przez drapieżników dwunożnych, przeniosło się gdzieindziej. Ponieważ należy ono do stworzeń wyniszczających owady, gąsienice i wogóle wszelkie drobne szkodniki ze świata zwierzęcego, więc należałoby poważnie pomyśleć o ochronie. Mamy dwie instytucye: Towarzystwo opieki nad zwierzętami i Delegacyę stałą przy sekcyi rolnej, które powinny tą sprawą się zająć. Ponieważ ani prośby, ani żadne uwagi, czynione przez ludzi rozsądnych owym myśliwym wcale nie skutkują, więc tylko na drodze karnej dałoby się coś zdziałać. Otóż w tym zakresie instytucye powyższe niech rozwiną swe zabiegi. Zjednanie stosownej liczby członków na wsi, upoważnionych do działania w tej mierze, mogłoby ukrócić bezmyślne a tak szkodliwe rozrywki.

W sprawie obserwatorium.

Od znanego astronoma odebraliśmy list następujący:

W nr. 28 *Prawdy* pod napisem „Filantropia czy nauka?" znajduje się artykuł, dotyczący obserwatoryum Jędrzejewicza przy szkole technicznej Wawelberga i Rotwarda. O związku obu tytułowych pojęć mówić nie będę, powiem tylko o zarzutach, które autor artykułu robi samemu obserwatoryum:

Otóż powiada on: „Podobno budynek ten ma kilka szczegółów wadliwych (zwłaszcza słupy nie są dostatecznie umocowane)..." itd.

Jakie szczegóły miał autor na myśli, trudno dociekać. W każdej budowie można ich szukać i znaleźć, ale żeby one z pobieżnego wejrzenia mogły być dostrzeżone, musiałyby być bardzo uderzające; a takich właśnie w niniejszym przypadku nikt nie znajdzie, chyba gdyby miał na myśli jakie wielkie obserwatoryum, pobudowane w wybranem na ten cel miejscu i zaopatrzone w kosztowne urządzenia. Obserwatorya w wielkich miastach są wszędzie wystawione na różne niedogodności, a przecież każde według swojej możności zmierza do celów nauki. Sądzę, że z obserwatoryum Jędrzejowicza też samo będzie.

Wzmianka o słupach niedostatecznie umocowanych pozwala domyślać się, że autor zwiedzał kiedyś ten mały zakład i próbował wytrzymałości słupów. Jeżeli one, zamiast stawić opór, zachwiały się, tedy uczyniły to albo z tej przyczyny, że były dopiero w budowie i jeszcze bardzo świeże, nieosiadłe, albo że autor ma w rękach herkulesową siłę i z łatwością może słup średniej wielkości w dowolnym kierunku poruszać. Jaką zaś obecnie słupy mają wytrzymałość i czy dobrze podpierają ustawione na nich narzędzia, o tem mogą przekonać libele, które są nieodstępnemi towarzyszkami każdej roboty astronomicznej.

Oprócz tej uwagi zrobię jeszcze inną, a mianowicie: roboty astronomiczne i geodezyjne wykonywają się częstokroć na drewnianych, lekkich trójnogach, a przecież przy ostrożności otrzymują się dokładne wypadki ze spostrzeżeń. Obserwator musi tylko unikać zarówno umyślnego, jak przypadkowego potrącania trójnoga, na którym narzędzie stoi. Tegoż samego unikać musi obserwator, mający narzędzie na stałym słupie murowanym, żelaznym lub drewnianym.

Powyższe uwagi wystarczą, jak mniemam, do usunięcia obawy o dostateczną wytrzymałość słupów, na których śmiało może być podjęta każda astronomiczna czynność, kontrolowana sposobami przez naukę wskazanymi.

W dalszym ciągu artykułu stawia autor główne pytanie: „Kto będzie zarządzał, a raczej kto będzie *naukowo* korzystał z instytucyi i jej środków?"

Jest to sprawa nader ważna dla każdego naukowego zakładu, gdyż najlepsze narzędzia nic same nie zrobią, jeżeli nie będzie człowieka, chcącego i umiejącego posługiwać się niemi.

Przez wzgląd na bardzo szczupłe fundusze obserwatoryum Jędrzejewicza, nie można w tej chwili marzyć o pozyskaniu na posadę obserwatora człowieka z nabytą praktyką astronomiczną; potrzeba zatem uciec się do kandydata, który chętnie i gorliwie wziąłby się do pracy i stopniowo doszedł do należytej wprawy w podobnych zajęciach.

Obecnie jest taki kandydat i oddaje się pracy nawet bezinteresownie, pragnie bowiem przedewszystkiem przygotować się do astronomicznego zawodu. Przy życzliwej pomocy osób z przedmiotem obeznanych może on z czasem wyrobić się na dobrego obserwatora.

Nie chcę ja tej sprawy przesądzać, ale spodziewam się, że ona wejdzie na pożądane tory; w takiej nauce, jak astronomia i praktyczne jej zadania, sprawność i dzielność obserwatora może ujawniać się w niedługim stosunkowo czasie.

Kowalczyk.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWOCZESNY SAWONAROLA.

(Luźne uwagi).

V.

Tołstoj na świadectwo prawdziwości swoich poglądów powołuje historyę. Całe nieszczęście, że tłomaczy ją źle i fałszywie, że nakręca fakty do swoich idej i że hołduje właściwie tylko mylnie przez siebie pojętej średniowieczności, a cofa się przed całą nowożytnością, uważając ją tylko za zboczenie od dawniej osiągniętego ideału,

przynajmniej w sferze pojęć o sztuce. Żadnego rozwoju pojęć na tem polu nie uznaje. Nie ocenił on tego, tak wymownie nakreślonego przez nowoczesną socyologię faktu, że na niższych szczeblach kultury wszystko sprowadzonem bywa do religii, cała obyczajowość, cała myślowa i uczuciowa strona życia, wszelkie urządzenia społeczne. Nie wie on nic o różnicowaniu się pojęć, o uwalnianiu się poglądów filozoficznych, estetycznych i etycznych z pod władzy pochłaniającego je dogmatu.

W jakim też punkcie dziejów Tołstoj odnajduje zboczenie ludzkości od prawdziwego, idealnego poglądu na sztukę? To przejmujące zgrozą zboczenie nastąpiło, według niego, w epoce Odrodzenia nauk i sztuk, to jest w chwili, gdy niewątpliwie duch ludzki wystrzelił kwiatem i obrodził owocem! Stało się to zaś jakoby dlatego, że w owej dziejowej chwili klasy wykształcone, wpadłszy w niewiarę, odwróciły się od obcej im z tego powodu sztuki ludowej, opartej na religii i przyjęły sprzeczny z chrześciaństwem pogański ideał sztuki, oparty na pięknie.

Teraz już musimy iść w szybszem tempie. Wszystkie następne liczne błędy Tołstoja wynikają ze skreślonych wyżej zasadniczych. Niepodobna i niema potrzeby rozbierać wszystkich. Godne są jednak zastanowienia niektóre. Zatrzymamy się na nich krótko.

Ocena sztuki, według Tołstoja, tj. uczucie, które ona wyraża, zawsze zależało od sposobu pojmowania przez ludzi celu i znaczenia życia, tj. tego, co jest dobrem i co jest złem w życiu. Co zaś jest dobrem a co złem, o tem pouczały zawsze religie. W ruchu ludzkości ku pojmowaniu celu i wartości życia przodowały zawsze jednostki, jaśniej rozumiejące ideał, lepiej wyrażające go w słowach i w czynach swoich. Religie były wszędzie wskaźnikami dostępnego w danej epoce i w danym narodzie najlepszym ludziom ideału pojmowania życia, do którego mniej lub więcej przybliżali się pozostali członkowie społeczności.

Jesteśmy w lesie błędów, nieporozumień i fałszów historycznych.

Tołstoj nie chce wiedzieć o tem, że po za ideałem religijnym może istnieć ideał etyczny, empirycznie wpływający na religię i w rozwoju swoim przechodzący nawet po za nią, idący dalej i wyżej. Szlachetny Eurypides, odstępujący w utworach swoich od religijnych wyobrażeń swojego czasu, kamienowany przez zaślepione tłumy, nie poucza go o niczem. Nie przemawia do jego duszy Sokrates ze swojem pojęciem o dajmonie, odstępujący od współczesnej mu religii i skazany na wypicie cykuty. Jeżeli fidżyjczykowie w szale ludożerczym oddają się sztuce religijnej, tj. tańcom naokoło przeznaczonych na zjedzenie ofiar, to wypadkowo zjawiająca się śród nich jednostka, ze wstrętem odwracająca się od ludożerstwa, nawołująca w przeczuciu wyższego ideału etycznego do miłosierdzia, będzie głosicielem złych uczuć, bo niezgodnych z panującą religią. Przychodzący od Wschodu apostołowie chrześciańscy, zżymający się w obcym im Rzymie na składane przez pogan ofiary u stóp ukochanych posągów bogów i bogiń, będą przeto głosicielami uczuć złych, bo odskakujących od powszechnych wyobrażeń religijnych danego społeczeństwa.

A potem co to za legenda o ocenianiu i popieraniu, oraz nieocenianiu i lekceważeniu? Kto oceniał i popierał? Jeżeli mowa o masach, to skoro sztuką jest, jak przyznaje Tołstoj, każdy wyraz uczuć, każda ozdoba, każde barwne opowiadanie przejmujące słuchaczy, pieśń nad kołyską, wesoły żart, piosnka miłosna, wszystko, co zaraża — wszystko to było oceniane, skoro się podobało i szerzyło śród mas. Nie było krytyków piękna, estetyków w czasach średniowiecznych; ale bo też nie było i żadnej nauki. Rządy nie popierały sztuki, jak dzisiaj; ależ nie popierały żadnej (nawet religijnej), bo opieka ich nie była tak rozległą i nosiła charakter wojskowo-ekonomiczny. W klasztorach popierano sztukę religijną — a więc najwyższym wzorem sztuki będą dla Tołstoja odmalowywane i upiększane przez średniowiecznych mnichów początkowe litery w modlitewnikach. Opiekowali się sztuką religijną papieże; tak, ci sami jednak, których Tołstoj pomawia, i nie bez słuszności, o utratę wiary — a opiekowali się już w nowej dobie, w potępionej przez niego epoce Odrodzenia.

I gdzież to istniała owa sztuka wyłącznie religijna? Żydzi, według Tołstoja, uznawali i szanowali tylko tę, która zgodnie z nakazami religii wyrażała pokorę woli Boga. Ależ w Biblii znajdujemy szamotanie się Hioba, gorzkie zwątpienie Ekklezyasty i miłosną pieśń nad pieśniami Salomona. Sztuka grecka była jakoby wyłącznie religijną, wyrażała bowiem uczucia radości i rozkoszy szczęścia ziemskiego, nakazane przez religię pogańską; sztuka zaś, wyrażająca uczucia zniechęcenia, tęsknoty, była złą, zaprzeczoną przez Greków — tak głosi Tołstoj. A smutki Safony? A sceny wszystkich kart domowego życia w płaskorzeźbach? A niedole Ulisesa? Nie wiadomo, co Tołstoj pojmuje nietrafniej, czy religię, czy sztukę grecką. Z tego rodzaju pojęciem zaprzecza się istnieniu w starożytności wszelkich cnót, wszelkiej moralności, bez której żadna społeczność żyć nie mogła. Pamięta się jedynie o Apollinie, Wenerze i muzach, a zapomina się o Dyanie, Temidzie i straszliwych Erynniach, prześladujących za zbrodnie. Widzi się Alcybiadesa, a nie dostrzega się Arystyda.

Pragnąc gwałtem narzucić czytelnikowi przekonanie, że sztuka grecka była wyłącznie religijną, Tołstoj ideał sztuki — piękno, podsuwa religii pogańskiej, nie widząc, że była ona tylko symbolizacyą sił i zjawisk natury i ducha. Nie wie on o rozkładzie religijnym w dobie rozkwitu sztuki greckiej, w epoce Peryklesa. Nie wie o odstępstwach od wiary narodowej rzeźbiarzy i poetów greckich doby późniejszej. Nie wie, że nie byli najwierniejszymi synami religii ci, co najwspanialej odtworzyli w marmurze pociągające fantazye ludowe o bogach, podobnie jak romantycy naszego wieku, rozmiłowani w urokach baśni ludowej, nie wierzyli przecie w gusła, czary, wróżki, chochlików itp.

W swojem ascetycznem zdziecinnieniu, wzdrygającem się zwłaszcza przed poezyą miłości zmysłowej, Tołstoj nie widzi, że sztuka nowoczesna, wyrwawszy się z powijaków średniowiecznych, w których przez długi czas umiała tylko kaligrafować manuskrypty, stawszy się świecką, rozszerzyła cudownie swoje ramy, dała głos wszystkim uczuciom ludzkim, dała wyraz szlachetniej pojętej religii i poczęła pełnić tę wzniosłą rolę, o której mówi sam Tołstoj — zarażania ludzi uczuciami i jednoczenia ich na całym obszarze życia. Bogactwo jej zrównało się z bogactwem objawów życia i zubożać ją należy z wielką ostrożnością. Można i należy karcić jej wybryki, odcinać nożem szlachetnej i rozumnej krytyki jej nikczemne i bezmyślne nawarstwienia, ale przystrzygać ją sięgającemi daleko, aż do jej rdzenia, nożycami religijnemi, nie wolno.

Jaką siłę może mieć nakaz religijny, kiedy się wmiesza do sztuki, poucza mahometanizm. Wzbraniając malowania postaci ludzkich i rzeźbienia posągów, złamał przecie geniuszowi arabskiemu jedno ze skrzydeł. Arabowie nie mają właściwie malarstwa i rzeźby. Skrępowana przez religię fantazya nie dała się przecie zabić; wytworzyła ona przecudowne arabeski, arcydzieła architektury — to wszystko, czemu religia przeszkodzić nie mogła.

Setkę stronic poświęca Tołstoj rozbiorowi pytania, jak odróżnić sztukę prawdziwą od fałszywej (podrobionej) i dobrą od złej. Mamy tu plątaninę trafnych myśli z najgrubszymi błędami.

Miarą istotności sztuki, niezależnie od jej treści, jest stopień zarażania, szerokość kół, które zaraża, i siła zarażenia. Miara to wcale nie pewniejsza i nie jaśniejsza, niż ośmieszone przez Tołstoja poczucie piękna — dobry smak.

Miarą dobroci sztuki, tj. jej wartości społecznej, jest treść uczuć, które wyraża. Dobrą jest tylko sztuka, płynąca z religijnej świadomości narodu. I ta miara, jak widzieliśmy, ma wartość wątpliwą.

Tołstoj jest zdania, że nasze klasy cywilizowane, zamiast prawdziwej sztuki, lubują się podrobionymi jej fabrykatami. Na dowód tego wskazuje, że nasza sztuka zaraża tylko nieliczne warstwy społeczne, obcą jest zupełnie ludowi, a więc nie zaraża i nie może zarażać uczuciem 0,99 części narodu. Ulubiony ten przez Tołstoja dowód statystyczny ktoś odbił słuszną uwagą, że olbrzymia część ludzkości żyje i umiera, nie znając chrześcianizmu, a przecież Tołstoj nie wątpi dlatego o prawdzie chrześciaństwa.

Jeżeli szerokość zakresu zarażania jest miarą wewnętrznej wartości sztuki, to najgłupsze, najnędzniejsze romansidła wyżej staną, niż arcydzieło poezyi, bo pierwsze mieć będą tłumy czytelników, gdy na drugiem pozna się zaledwie garstka ludzi wykształconych.

Zrażony zepsuciem smaku kół inteligentnych, na sędziego wartości sztuki powołuje on zdrowego (niezepsutego) robotnika wiejskiego. Ten już jakoby nieomylnie odróżni fałszywy i prawdziwy brylant w sztuce. W pewnem miejscu Tołstoj za prawdziwą sztukę ogłosił „Eugeniusza Oniegina“ Puszkina, mianem złej ochrzci natomiast „Borysa Godunowa.“ Otóż chcielibyśmy widzieć, jak zachowałby się zdrowy robotnik wiejski wobec subtelnej poezyi Puszkina w „Onieginie.“ Jeżeli według Tołstoja wrażenie utworu prawdziwej sztuki jest takie, że słuchacz zlewa się z autorem i czuje, że on to sam właśnie chciał powiedzieć, to ciekawym byłby widok owego chłopa, czującego, że zamiarem jego było ni mniej ni więcej, tylko... napisanie „Eugeniusza Oniegina“!

Historya biblijnego Józefa jest według Tołstoja wzorem sztuki, ponieważ zarazić musi każdego, i dzikiego (?!), i chińczyka, i małe dziecko; dla wszystkich jest ona jednakowo jasną. Wyobrażam sobie małe dziecko, rozumiejące dokładnie awanturkę Putyfary z Józefem i niezapytujące, dlaczego to Putyfarze tak się podobał płaszcz Józefa.

Zaznaczając, że stopień i siła zarażenia zależy od większej oryginalności wyrażanego uczucia, Tołstoj tłomaczy ten objaw tem, że „przejmujący uczucie doznaje tem żywszej *przyjemności*, im nowszy jest stan duszy, w który wprawia go autor.“ I oto sam on ucieka się, ażeby wyjaśnić wrażenie sztuki, do tej „przyjemności,“ którą pragnął wypędzić z obrębu estetyki. W podobny sposób „zdrowe poczucie robotnika,“ które tak mu się podoba, daje się sprowadzić do pojęcia smaku — wątpimy tylko, czy najlepszego. Miara ta nie jest bardziej określoną, niż ów smak, który do nieokreśloności swojej stracił wagę w oczach Tołstoja.

Nie wińmy tedy nazbyt Tołstoja, że nas pociągnął w tę właśnie stronę. Uszanujmy jego pragnienie wskazania ludzkości drogi do miłowanego przezeń dobra. A jeżeli się mylił, zaznaczmy jego błędy i zrozumiejmy, dlaczego mógł się omylić.

Mamy do czynienia z tajemnicami, których nikt jeszcze dotąd nie rozwiązał. Nie

rozwiązał więc ich i Tołstoj. Pragnęliśmy rozwiać to jego złudzenie...

L. Belmont.

Z DZIEJÓW DRAMATU W POLSCE.

Jan Bolte: *Das Danziger Theater im 16 und 17 Jahrhundert* (Teatr gdański w szesnastym i siedemnastym wieku). Theatergeschichtliche Forschungen, t. XII.

Nie prędko zapewne będziemy mieli dzieje dramatu w Polsce. A jednak od czasów „Starożytnego teatru polskiego" K. W. Wójcickiego (1842) dużo przyczynków do nich nazbierało się. Przypomnę z ostatnich lat obfite dane do „Jasełek," zebrane przez *Wisłę*, prace Aleksandra Brucknera o intermedyach polskich z XVII wieku, poszukiwania S. Windakiewicza o pierwszych trupach aktorskich w Polsce.

Z kolei chcę podać wzmiankę o doskonałej, źródłowej pracy profesora uniwersytetu berlińskiego, Jana Boltego. Stanowi ona dwunasty tom ogłoszonego w Hamburgu i Lipsku nakładem L. Vossa wydawnictwa, poświęconego dziejom dramatu. Oparta na studyach archiwalnych, uwzględniająca odnośne rzeczy drukowane, jest dla historyi teatru polskiego pożądanym nabytkiem.

Nie zapominam, że przeważająca większość przedstawień teatralnych w Gdańsku była niemiecka. Zdaniem mojem, ów szczegół zmienia mało stan rzeczy. Bo prócz tego były i widowiska polskie, a powtóre dla dziejów cywilizacyi w Polsce niezbędne znać objawy kulturalne na całym jej obszarze. Wreszcie jeśli podlegaliśmy w pewnym stopniu wpływom niemieckim, to niewątpliwie jedną z dróg ich przenikania była droga przez Gdańsk. Zatem i ze stanowiska porównawczego ma ta praca znaczenie.

Pomny, iż charakter jej jest nieco specyalny, zaznaczę krótko treść.

Przedstawienia niemieckie od r. 1500 do 1730 dadzą się podzielić na trzy grupy: przedstawienia młodych rzemieślników, uczącej się młodzieży i przyjezdnych aktorów. Czy poprzedziła je faza przedstawień duchownych, dawanych przez kler w święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, nie wiadomo. Natomiast są dane, dotyczące zabaw i igrzysk ludowych z czasu przed 1500.

Do zabaw tych dołączyły się szybko dyalogi, a z nich wytworzyła się komedya. Należy więc wliczyć je do dramatu. Tak np. stolarze, urządzający pantomimę, wprowadzili do niej rymowany tekst w XVI w., w XVII urósł on na dużą komedyę. Kuśnierze w r. 1572 dodali do zabawy karnawałowej tragedyę Agricoli „Jan Hus."

Od r. 1560 datuje się w Gdańsku komedya szkolna, w 1573 daje komedyę nawet szkoła dziewcząt. W XVII w. gimnazyum wystawia łaciński dramat profesora Rauego, w 1646 szkoła Maryi daje przedstawienie łacińskie na cześć przyjeżdżającej oblubienicy Władysława IV, Maryi Gonzagi.

Przyjezdni aktorzy zjawiają się w końcu XVI w.; są to maryonetkarze, przedstawiający sceny biblijne. O wiele ważniejsze są występy komedyantów angielskich; od r. 1590 do 1650 widzimy ich kilkakrotnie. Jeden z nich, Green, udał się w r. 1617 z Gdańska na dwór królewski. Od połowy XVII w. zajmują ich miejsce trupy niemieckie i holenderskie.

Przejdźmy do działu bliżej nas obchodzącego.

Historyk znajdzie w dziele Boltego bardzo zajmujące dane, dotyczące przyjęcia królów polskich w Gdańsku. Dane te zaczerpnięte przeważnie ze źródeł rękopiśmiennych. Zaznaczyłem słuszny powód, dla którego niemiecki uczony mieści podobne uroczystości w poczcie dramatycznym.

Z wielką okazałością podejmowano Zygmunta III w r. 1623. W dziesięć lat potem, d. 6 lutego, rada miejska w Gdańsku obchodziła bardzo uroczyście koronacyę Władysława IV. Na rynku wzniesiono rusztowanie, a na niem posąg Mucyusza Scewoli; przypominało to wyprawę turecką króla. Na północ od niej ustawiono „obóz miłości" (castrum amoris), na południe „koło losu ludzkiego" (rota sortis humanae), na wschód kolumnę stałości (columna constantiae)— wszystko malowane rożnobarwnie. Były to symbolo uczuć dla władzy wraz z filozoficznem przypomnieniem znikomości wszystkiego.

Przyjęcie Maryi Gonzagi od 11 do 20 lutego 1646 r. przewyższało pod względem przepychu wszystkie poprzednie. Koszta jego wynosiły 184,665 marek ówczesnych. W 1669 obchodzono tu uroczyście koronacyę Michała Korybuta; jak zaś umieli ująć mieszczanie gdańscy goszczących w ich mieście władców, świadczy to, iż Jan III, który tu przybył po zwycięztwie chocimskiem, zabawił w poczciwem mieście przeszło pół roku. Także Fryderyk August doznał w r. 1698 bardzo gościnnego przyjęcia.

Siedziało jednak w magistracie gdańskim sporo wrogow szatana... Ani w Toruniu, ani w Elblągu tak niechętnie nie traktowano teatru i aktorów, jak tu. Pełni odrazy dla dyabelskich pokus sceny, rajcowie protestanccy bardzo rzadko pozwalali na urządzanie przedstawień. Ile odmów zawiera książka Boltego! Czasem umotywowane, częściej zimne i węzłowate, jak cnota pastora. Nie pomagały prośby, a często błagania głodnych i zziębniętych aktorów. Taka odmowa spotkała nawet trupę holenderską, która chciała wystawić w r. 1684 „Oblężenie i odsiecz Wiednia z wspaniałą wystawą, sześć aktów." Prof. Bolte przedrukował świstek, zawierający treść ciekawego tego utworu i dołączony do prośby, znajdującej się w archiwum miejskiem. Jest to piąty dramat niemiecki o odsieczy wiedeńskiej *).

A przecie — wracając do Gdańszczan — gdy dowiedzieli się o zwycięztwie Jana Sobieskiego, uchwalili obchodzić je d. 30 października 1683 r. dziękczynnymi modłami, biciem w dzwony, muzyką i salwami armatniemi.

Przedstawienia teatralne w Gdańsku nie były jedynie niemieckiemi. Wielu mieszkańców mówiło po polsku, w 1656 wydawał tu Jakób Weiss czasopismo polskie **). Urządzano więc i widowiska polskie. W 1638 rada staromiejska (ówczesny Gdańsk składał się z kilku dzielnic autonomicznych, najważniejsze Stare Miasto i Prawe Miasto) pozwoliła wystawić Jana Gawinskiego „Tragikomedyę o pyanym, który mniemał, iż iest krolem." Utwór został odegrany i wydrukowany, ale wobec antagonizmu, istniejącego między radami dwu wspomnianych dzielnic, rajcowie staromiejscy, korzystając z tego, że rękopis przed drukiem nie dano burmistrzowi do przejrzenia, kazali cały nakład skonfiskować. Zapewne i wesoła treść nie podobała się czcigodnym. Bolte tak dobrze rozwija ów antagonizm i prawowierność magistracką, że nie wiem, skąd wziął mu się wniosek, jakoby na przedstawienia polskie rada gdańska krzywo patrzyła. Zliczywszy odmowy, dane Niemcom, doszlibyśmy do wniosku, wyglądającego na bardziej uzasadniony, mianowicie, że rada była anti-niemiecką. Zwłaszcza że wypadek z r. 1630 jest jedynym, który świadczy o jakichś przeszkodach dramatowi polskiemu.

Ale poważny badacz do swoich prac nie wnosi odgłosu starć bieżących. Nie mówmy o antagonizmie polskim, ani niemieckim, gdyż ten nie istniał. Powtórzmy natomiast, co rzekliśmy wyżej, że istniała niechęć wogóle ku utworom scenicznym.

W pięć lat później odegrano w Gdańsku trzyaktową „Tragedię o bogaczu y łazarzu, z pisma świętego wyiętą y nowo wierszem opisaną polskim." Streścił ją Brückner w „Archiv für slavische Philologie" (t. XIII). Ma chóry i dwa komiczne intermedya: w pierwszem zabawna scena między synem i ojcem, który uszyte przez synalka buty przepił; w drugiej kłopoty kucharza, który kupił u wieśniaka kaszubskiego zająca i sarnę, a w domu znajduje zamiast nich w torbie — psa i kota.

W r. 1673 dawano „Historyę o starym i młodym Tobiaszu," zmierzającą do utrwalenia w młodzieży zamiłowania ku miłości i uległości względem rodziców. Jeden egzemplarz tej trzyaktowej historyi, gdzie w biblijną treść wplecione są sceny czarcie, znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

Książka Boltego winna znaleźć się w ręku badaczów naszej historyi i naszego piśmiennictwa. Nie wyczerpuję jej treści, dodam tylko, że składa się z krótkiego rysu o teatrze w Gdańsku (I—XXIII), potem z chronologicznie ułożonych materyałów (s. 1—168), wreszcie z trzech utworów dramatycznych niemieckich, odegranych w Gdańsku. Autor posiłkował się i źródłami polskiemi, szkoda tylko, że mimo swej wielkiej sumienności pisze Sobieski przez *y*, a Wiśniowieckiego nazywa „Wiszniewic."

W. Bugiel.

*) Cztery inne ogłosił Sauer w *Wiener Neudrucke*, zesz. 8 (Vier dramatische Spiele über die zweite Türkenbelagerung aus den Jahren 1683—1685). Wiedeń, 1884.

**) Löschin: *Geschichte Danzigs*, I, 305—385.

MALARSTWO.

(Wystawa retrospektywna).

Przedewszystkiem muszę się zastrzedz, że nie mam najmniejszego zamiaru pisać jakiegokolwiek „studyum historycznego" o malarstwie polskiem, biorąc za źródło obecną wystawę dzieł malarzy nieżyjących, jak to uczyniła większość chyba krytyków warszawskich. Materyał, jaki mamy pod ręką, jest stanowczo za ubogi i pozwala co najwyżej dojrzeć pewne *punkty* wytyczne, zwrotne w rozwoju malarstwa polskiego, lecz nie wystarcza jeszcze do utworzenia dokładnego pojęcia o jego *dziejach* ciągłych. Niżej niejednokrotnie będziemy mieli sposobność wykazać, jak niedokładnie zbiory charakteryzują rodzaj i wielkość talentu poszczególnych artystów.

Aby to, co tu mówię, nie wydało się zarzutem, czynionym organizatorom wystawy, pozwalam sobie w imieniu wszystkich tych, którzy owoc ich sumiennej i mozolnej pracy oglądali, złożyć im serdeczne podziękowanie. Należy się komitetowi wdzięczność podwójna: z jednej strony — za cel szlachetny, dla którego nie żałował trudów, z drugiej zaś — za wysoce obywatelski środek, wybrany przezeń dla osiągnięcia dobroczynnego celu. Nieraz zadawałem sobie pytanie: w jaki sposób należy się zabrać do badań nad historyą sztuki polskiej, i zawsze chwytał mnie strach przed tym ogromem czasu, trudu i środków, który poświęcić należy. Pomijam oczywiście nietrudną do przestudyowania literaturę przedmiotu bardzo ubogą, bo składającą się chyba

tylko ze „Słownika malarzów polskich“ Rastawieckiego, wstępu do „Katalogu wystawy lwowskiej“ prof. Bołoz-Antoniewicza i wreszcie dzieła hr. Mycielskiego „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce“; lecz skąd i gdzie wziąć do odczytania te żywe karty sztuki — obrazy, ryciny, rzeźby? Malarstwo i rzeźba — to nie filozofia, którą z martwych druków poznać można, a tymczasem, wstyd powiedzieć, nie mamy właściwie ani jednego muzeum narodowego, które mogłoby służyć za zwierciadło dziejów sztuki naszej — i pod tym względem jesteśmy chyba najuboższym narodem na świecie. Dzieła mistrzów naszych rozsiane są po wszystkich krajach i wszystkich częściach świata, więc należałoby ziemię całą objechać, aby je obejrzeć. Więcej jeszcze — nie mamy nawet albumów, z których w przybliżeniu chociaż można byłoby z treścią, duchem, jeśli nie formą, dzieł wybitniejszych się zapoznać.

Wyznaję, żem z pobożnem skupieniem ducha wchodził na wystawę; toż to skarbiec drogocenny i tem droższy, że tak niedługo w dłoniach naszych pozostanie; maluczko, a te z takim trudem zebrane dzieła rozpierzchną się znowu w różne strony i długo czekać będziemy musieli, aż się znów, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, razem znajdą. Pierwsze pytanie, jakie tej żywej księdze dziejów postawiłem, tyczyło się początków malarstwa polskiego. Gdzie tu szukać dzieła i nazwiska, z którem związane są narodziny jego? Katalog wskazuje nam wiek XVII, przytacza nam imię Semiginowskiego Jerzego Eleutera, zmarłego w r. 1711, cytuje trzy jego płótna: „Marya Kazimiera,“ „Jan III,“ „Aleksander Sobieski.“ Lecz nie wierzcie katalogowi: prawda, którą mówi, jest tylko względna. W samej rzeczy, jeśli za dzieła sztuki *polskiej* uważać zechcemy te, które na naszej ziemi powstały i stworzone zostały przez artystów, co się Polakami mianowali lub ze społeczeństwem polskiem żyli, to katalogowi nic do zarzucenia nie mamy; jeśli zaś w sztuce widzieć, i to zupełnie słusznie, zechcemy „skrystalizowanego ducha narodu,“ jak się wyraża Taine, to nie z Semiginowskim, nie z całą masą po nim idących zaczyna się sztuka polska. Nie znaczy to bynajmniej, że nie chcę uznać za sztukę polską, stworzoną przez cudzoziemców z rodu i nazwiska, jak np. Baciarelli, Belloto-Canaletto, Marteau lub Lohrmann, bo przecież po Semiginowskim malują u nas Czechowicz i Chodowiecki, Smuglewicz i Tokarski — wszystko bezwątpienia Polacy z rodu i imienia... lecz obcy zupełnie duchem, a przynajmniej, że się tak wyrażę, duchem artystycznym. Pozbądźmy się złudzeń: nie w wieku XVII przypada uroczysta chwila narodzin malarstwa polskiego, lecz później, znacznie później — nie wahalibyśmy się nawet twierdzić, że dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia, gdyby nie pewne wcześniejsze, nieśmiałe jeszcze próby.

Nie wykreślajmy jednak jednem pociągnięciem pióra z karty dziejów tych wszystkich dawnych obco i swojsko brzmiących nazwisk; mają one swą wielką i nawet bardzo wielką zasługę. Ci obcy artyści przenieśli do nas nasienie sztuki, zasiali u nas miłość i poszanowanie dla niej; a że pierwsze siewy trzymali pod kloszem, jak gdyby bojąc się, aby ostre wiatry nie zwarzyły delikatnych pączków, nie ich w tem była wina. W owe czasy sztuka szukała opieki i protektorów śród magnatów i na dworze królewskim, a pierwsi i drudzy polskimi byli tylko z imienia, lecz nie z ducha. Więc sztuki narodowej w końcu XVII, w XVIII i w początkach XIX wieku niemal że nie mieliśmy: ścierały się przez cały ten okres z sobą najrozmaitsze szkoły, najróżnorodniejsze kierunki pochodzenia cudzoziemskiego. Bacciarelli przynosi do nas odgłosy sztuki włoskiej; a chociaż z czasem jego łączy się okres jej upadku, zapatrzył się on jednak na arcydzieła mistrzów z epoki rozkwitu. Znać wprost na płótnach jego wpływ dziadów po duchu i narodowości, któremu pozostał przez całe życie wierny, nie poddając się nowemu, jaki wywrzeć nań, mógłby naród, z którym tyle lat przeżył; malując „Damy dworu jako gracye“ i. zda się, przed oczyma duszy stoją mu „Trzy siostry“ Palma Vecchia, malując potrety— i z Polaków i Polek tworzy Włochów i Włoszki. Z epoki mu współczesnej, epoki upadku sztuki włoskiej, zapożyczył nadto pewien szablon układu, oraz ubóstwo kolorytu, obfitującego w ckliwo różowe i żółte tony. Francuz Lebrun szczepi u nas swoją „Sceną z życia Achillesa“ wznowiony we Francyi przez wielkiego Dawida klasycyzm, a za nim idzie tłum samodzielnych skądinąd artystów, jak Kokular, Brodowski i inni. Mamy i Holendrów w rodzaju Zarzeckiego z jego „Pijakiem...“ A nawet tacy utalentowani malarze, jak Czechowicz, nie opierają się wpływom obcym. Ten ostatni kształci się we Włoszech; lecz widocznie on sam lub mistrze jego przejęli się Murillem, bo takie płótna np., jak „Święci polscy, admirujący Dzieciątko Jezus,“ „Św. Józef Kalasanty“ i in. podobne są poniekąd do kopij obrazów artysty hiszpańskiego, od którego przejął Czechowicz najwidoczniej to „coś,“ co się stylem nazywa; nie umiał jednak przejąć tej piękności, dotąd nieporównanej, kolorytu, dzięki której zasłużyły sobie obrazy Murilla nazwę „poezyj w barwach.“ Trąci również cudzoziemszczyzną i Smuglewicz (o Chodowieckim niema i co mówić), pomimo, że treści do obrazów czerpie czasem z dziejów ojczystych („Obrona Trębowli,“ „Bitwa pod Beresteczkiem“ i in.); pozostają obcymi nam obaj Lampiowie (ojciec i syn), Varenne, Pfanhauser i tylu, tylu innych, których wyliczanie w tem miejscu nie miałoby żadnego celu, bo niczego by nie nauczyło. Wszystkie te szkoły i kierunki ścierają się wzajemnie, walczą z sobą i tłumią każdy poryw oryginalniejszy, śmielszy, niemal że starają się w zarodku zdusić nową delikatną gałązkę na drzewie sztuki, gałązkę polską.

Pomiędzy wszystkimi tymi artystami, co u nas siedząc, wzrok mieli utkwiony w kraje obce i wszystkie stamtąd dochodzące odgłosy chciwem łowili uchem, był jeden tylko, obcy nam zupełnie, bo nie u nas się rodził i nie śród nas umarł, który jednak przejął się potrosze duchem polskim i omal że nie stał się ojcem malarstwa polskiego. Był to Jan Piotr de la Gourdaine Norblin (1745—1830). Od jego „Karczmy w Częstochowie“ można by było rachować erę malarstwa polskiego, gdyby był posiadał więcej talentu i siły. Bo oto dalej, jeśli nie pod jego bezpośrednim wpływem, to w każdym razie za nim, idzie Piotr Michałowski z „Mohortem“ i „Końmi,“ Jan Feliks Piwarski z „Chłopem z dzbankiem“ i trochę sentymentalnym „Odjazdem do półku“ i wreszcie uczeń Norblina, Aleksander Orłowski. Orłowski, mierny a nawet słaby kolorysta, lecz nieporównany rysownik, pierwszy sięgnął do bogatej skarbnicy fantazyi szlacheckiej i kozackiej, pierwszy chyba oddał ołówkiem tę głęboko w duszy Polaka drzemiącą miłość konia. Z jego obrazów wieje polskim łanem i stepem ukraińskim, to malarz polski w najgłębszem słowa tego znaczeniu.

Lecz i Norblin, i Michałowski, i Piwarski, i nawet Orłowski zamało znać wpływu mieli, aby sztukę polską z powijaków cudzoziemskich całkowicie wyzwolić. Napół przebudzona, drzemała ona jeszcze, czekając na Grottgera, Matejkę i wreszcie Chełmońskiego, którego płótna bodajby jak najpóźniej trafić miały prawo na „wystawę dzieł nieżyjących artystów polskich.“

Z temi ostatniemi nazwiskami zaczyna się najnowsza doba malarstwa naszego, rozdział dziejów, spisany przez nas, przed naszymi oczyma, a więc dobrze nam wszystkim znana. Dziś sztuka nasza jest *polską*, a jeśli się wpływom obcym poddaje, to przenosi kierunki zapożyczone na własny grunt i własną odrębną odziewa je szatą. Nie będziemy się więc nad tym okresem dłużej zatrzymywali. Wypada nam jeszcze wskazać ważniejsze braki, na które uwagę zwrócić trzeba. Pomijamy epokę dawniejszą, bo tam kompletować trudno, a może i nie są one dla szerszego ogółu szczególnie ciekawe, lecz śród malarzy doby ostatniej—wprost rażą. O takim np. Grotgerze moglibyśmy nabrać niemal zupełnie mylnego pojęcia, gdybyśmy go skądinąd nie znali. Toż z całego Grotgera, tego nieporównanego poety, mamy zaledwie „Szkołę szlachcica,“ „Widok“ i „Studyum.“ Co za pojęcie na zasadzie tych niemal drobiazgów można sobie wyrobić o tym geniuszu malarskim? A Matejko, któremu sytuacyę ratuje właściwie tylko jedno arcydzieło „Kazanie Skargi?“ A Gottlieb, którego wielki talent dotąd dostatecznie ocenionym nie został (nie zapomnijmy, że twórca „Żydów w Synagodze“ umierając miał zaledwie 23 lata)? A Pruszkowski, wielki w swych poematach malarskich, z jedynemi w tym rodzaju „Zaczarowanemi skrzypkami?“ A Maks Gierymski, którego twórczości zaledwie skrawki tu widzimy? A wreszcie Podkowiński, którego żaden obraz z lat ostatnich nie figuruje na wystawie? Czy o nich z wystawy można się czego nauczyć? Prawie nic, albo bardzo mało; i w ten sposób stała się wystawie retrospektywnej krzywda wielka. Czyjej winie ją przypisać? W każdym razie—nie komitetu, który czynił wszystko, co mógł, a może nawet i więcej niż mógł. Ot wylazło tu, jak zwykle, stare szydło z worka: obojętność społeczeństwa na sprawy publiczne...

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

DLA LUDU. M. Brzeziński: „O morzach i lądach,“ z ilustracyami (144 str. — cena 30 kop.).

— M. Malinowski: „Włościańskie stowarzyszenia rolnicze w różnych krajach“ (168 str.— cena 12 k.). Nakład Tanich wydawnictw.

— „Z życia ludzi i zwierząt,“ książeczka pierwsza (72 str.). Nakład Komitetu Damskiego przy Tow. op. nad zwierz.

NAUKI. E. Hermann: „Przyczynek do psychologii ludów,“ w popularnym wykładzie prof. J. Jażułta, przeł. J. Winnicki (51 str.).

— A. Ostrzeniewski: „O zamieszkalności światów,“ z rysunkami (22 str. — cena 35 k.).

— M. Bersohn: „Kilka słów o Janie Haweliuszu, astronomie gdańskim z w. XVII oraz o jego korespondencyi“ (34 str.), z heliograwiurami.

HISTORYA LITERATURY. J. Flach: „Studya nad współczesnym dramatem niemieckim — I, G. Hauptmann“ (270 str.). Lwów.

POEZYA. H. Heine: „Niemcy, baśń zimowa,“ przeł. K. F. Wize (102 str.).

SPRAWY EKONOMICZNE

OLBRZYMY KREDYTU.

Centralizacya ogarnia wszystkie sfery gospodarstwa narodowego i powołuje do życia nowe wzory. Lecz może nigdzie nie zagarnęła tak rozległych obszarów i nie uwydatniła tak potęgi swojej, jak w zakresie interesu bankowego. Ustrój towarowy, wydobywszy się z powijaków okresu rzemieślniczego, stworzył zawikłane stosunki na rynku pieniężnym: kupno i sprzedaż walorów, kredyt, przechowywanie nagromadzonych skarbów stały się czynnościami złożonemi, wymagającemi istnienia odpowiednich urządzeń. W miarę rozrostu tych wszystkich zadań natura „środka wymiany" i „środka wypłaty" uległa zmianie: kruszec został wyrugowanym przez papiery kredytowe, te zaś przez kompensaty i inne doskonalsze sposoby obrachunku. W Banku francuskim ogół wpływów i wypłat wynosi 53 miliardy tylko w biurach, znajdujących się w obrębie Paryża, w tej liczbie znajduje się biletów bankowych 15 miliardów, jeden zaś miliard, tj. 2% całej sumy, w kruszcu. Do jakiego stopnia pieniądz metaliczny jest mało pożądany, o tem świadczy inny jeszcze fakt z życia wymienionej instytucyi. Bank francuski w r. 1893, doszedłszy do kresu emisyi biletów, musiał uskuteczniać wypłaty w złocie. W ciągu dni dwunastu kasa wydała aż 145 milionów franków dwudziestofrankówkami. Po kilku tygodniach wszystko to złoto powróciło do skarbca, gdy parlament udzielił przyzwolenia na nową emisyę.

W artykule obecnym zamierzamy poprzestać na jednej stronie interesu bankowego — udzielania kredytu. Dla przykładu wybierzemy Francyę, gdzie na tem polu, obok Banku narodowego, istnieją cztery olbrzymie towarzystwa kredytowe: Kredyt lyoński, Kantor dyskontowy, Towarzystwo powszechne i Kredyt przemysłowy, przedstawiające pospołu obrót roczny 55 miliardów franków. Instytucye te, współzawodnicząc nawzajem, dają osobom, korzystającym z kredytu, warunki coraz dogodniejsze. Lecz współubieganie się z Bankiem jest raczej pozorne, niż istotne: instytucya ta i wspomniane towarzystwa kredytowe zagarnęły poniekąd zgoła inne pola — szczegół bardzo ciekawy! W Banku francuskim saldo rachunku pojedynczego wynosi średnio 38 tysięcy, w Kredycie lyońskim tylko 6 tysięcy franków; otwartych rachunków w tamtym znajduje się 15 tysięcy, w tym ostatnim 155 tysięcy. Cyfry te wskazują, że Bank narodowy przedstawia instytucyę kredytową dla wielkich kapitalistów, prywatne zakłady — dla mniej zamożnych warstw świata kapitalistycznego. Urządzenia te wzajemnie się uzupełniają, przyczem Kredyt lyoński i inni współzawodnicy w gruncie rzeczy nie tyle odebrali instytucyi narodowej klientów, ile ponieśli kredyt w koła z niego niekorzystające. Przedstawiają one organizacyę rentyerów, poszukujących dla swych kapitałów odpowiedniego umieszczenia. Bank jest maszyną ciężką, skrępowaną rozmaitymi przepisami, co jest zgoła zrozumiałem, bo tylko przy takich warunkach mógł on pozyskać powagę, jaką się cieszy. Tymczasem urządzenia kredytowe prywatne postawiły sobie za zadanie oprzeć interes na zasadach bardziej elastycznych i ruchliwych, tj. nie wychodząc z granic przezorności, zagarnąć przecież zakresy, nietknięte przez tamtą organizacyę. Zdemokratyzowały one kredyt i przedewszystkiem porzuciły postawę bierną, wyczekującą. Posiadają całą sforę zaganiaczy, tak zwanych „demarcheurs," którzy idą w imieniu firmy ofiarowywać pożyczkę domom handlowym i przemysłowym, dającym odpowiednią rękojmię i niezrażeni przyjęciem powracają po raz drugi i dziesiąty. Gdy zaś chodzi o możliwość ulokowania wielkiej kwoty, to nawet dyrektor rady, możnowładca finansowy, nie waha się złożyć osobiście wizyty. Uprzejmość ta i ruchliwość niewątpliwie zasługują na uwagę. Są one jednak tylko stroną podmiotową bardzo doniosłego faktu społecznego: nadmiaru kapitałów niezajętych w społeczeństwie, trudności ich umieszczania i podporządkowania kapitału rentyerskiego przemysłowemu i handlowemu. Organizacye kredytowe prywatne to przedewszystkiem machinerya, ułatwiająca, że tak rzekniemy, żer — ściąga ona kapitały z pończoch stróżów i kuferków włościańskich i szuka dla nich bardziej wytwórczego zajęcia. Zześrodkowała ona olbrzymie fundusze i każda najdrobniejsza oszczędność, obojętna w małym interesie, wobec ogromu obrotów wywołuje skutki potężne. Dość powiedzieć, iż w Kredycie lyońskim różnica 10 centimów na 100 frankach obrotu daje już w ciągu roku olbrzymią sumę miliona franków! Instytucye te stwarzają więc cały szereg drobnych oszczędności i w zamian, ażeby zagarnąć rynek kredytowy, obniżają stopą procentową. Rozpoczyna się walka wielkiego kapitału, który powstał przez zrzeszenie pomniejszych, z kapitalistami i bankierami pojedynczymi. Bank algierski dyskontował weksle po 6%; stopa ta, od chwili założenia w Algierze kantoru Kredytu lyońskiego, spadła na 4%; jeszcze bardziej poderwał on interesy bankierów w miastach departamentalnych. Indywidualny kapitał rentyerski zostaje wyrugowywany ze swoich stanowisk i skazany na bezczynność. Pozostaje mu tylko wsiąkać w powstające olbrzymy i przy ich pomocy wyszukiwać umieszczenia. Rozwijająca się centralizacya niszczy pomniejszych współzawodników i pochłania ich, sama wzrastając coraz bardziej w potęgę i rozległość. Doniosłość tego faktu i skutki jego nie doczekały się jeszcze należytej oceny w literaturze ekonomicznej, chociaż tak samo zasługują na uwagę, jak trusty lub wielkie magazyny sprzedaży detalicznej. Wchłaniając zaś fundusze prywatne, mniejsza w jakiej postaci: depozytów czy innej, musi nabyć niezwykłej sprężystości, ażeby uczynić zadość wymaganiom możliwej nierównowagi. Wypowiedzenie wojny w r. 1870 sprawiło, iż w Kredycie lyońskim wycofano 70%, w Société générale 85% ogółu sum złożonych. Oceniają, iż lekki popłoch pozbawia te instytucye 25% wkładów, poważny 50—60%, bardzo ciężki — 75—90%. A ponieważ życie społeczne dzisiejsze obfituje w niespodzianki i nie wiadomo, kiedy katastrofa zawiśnie nad instytucyą kredytową, trzeba więc być zawsze na pogotowiu. Kredyt lyoński może służyć za wzór, o ile ta okoliczność oddziałała na urządzenia olbrzymów, o których mówimy — ogromowi obrotów jego przyjrzymy się poniżej, tutaj tylko powiemy, że dla zlikwidowania wszystkich swoich interesów wymaga on w najgorszym przypadku tylko kwartału! Ażeby dopiąć tego, kierownicy starają się, ażeby kapitały odpływały nieznierną ilością niewielkich i krótkoterminowych dróg i bezustannie wracały. Ktoś przyrównał ten mechanizm do obrotu krwi w organizmie, która nigdzie nie zatrzymuje się, lecz jest w nieustającem krążeniu! I dodajmy jeszcze jeden szczegół: pomimo omyłek i podejść, nieodłącznych przy prowadzeniu interesu tak olbrzymiego, niedobory roczne, pochodzące z tych źródeł, są bardzo nieznaczne. Kredyt lyoński w rocznym obrocie 14 miliardów ma straty z niewypłacalności dłużników tylko na sumę 300 tysięcy, z powodu zaś błędów zaledwie na kwotę kilkuset franków...

Przyjrzyjmy się zbliska jednemu z tych zakładów kredytowych, tak zwanemu *Crédit lyonnais*.

Główny zarząd jego mieści się w Paryżu w gmachu, który kosztował około trzydziestu milionów franków, a jednak jest dzisiaj za ciasny. „Kredyt lyoński" liczy obecnie 150 ajentur, rozproszonych po różnych krajach — jest to instytucya, w całem słowa znaczeniu międzynarodowa. Założony w r. 1863 z kapitałem 20 milionów franków, musiał on podnieść w r. 1872 tę sumę do 60, w r. 1879 do 100, wreszcie w r. 1881 do 200 milionów franków. I obroty jego powiększały się w tym samym stosunku: w r. 1872 wyniosły one niespełna 6 miliardów, w r. 1880 zaś 18½! O rozmiarach stosunków może dać pojęcie ta okoliczność, iż rocznie wysyła on około miliona listów, co na przeciętny dzień roboczy daje 13 tysięcy. Ażeby być w możności uniknąć niepowodzeń, zaprowadzono szczególne archiwum: gromadzi ono wszelkie szczegóły, dotyczące stanu finansowego, przemysłowego i handlowego całego globu. Jak w biurze policyjnem każdy obywatel miasta posiada swoją rubrykę, tak samo w „studyach" — *études*— „Kredytu lyońskiego" każda spółka kapitalistyczna. Archiwum rozpada się na cztery działy. Pierwszy z nich zajmuje się właściwym przemysłem. Do jego obowiązków należy zbieranie wszelkich wiadomości, o ile można najpoufniejszych, co do początku i obecnego stanu towarzystw kopalnianych, gazowych, elektrycznych, tramwajowych, parostatkowych itd. we Francyi i zagranicą. Drugi wydział zbiera podobne informacye co do banków, trzeci jest poświęcony jedynie kolejom, wreszcie czwarty walorom państwowym i municypalnym rozmaitych krajów. Przy archiwum „studyów" istnieje biblioteka, złożona z czasopism specyalnych, należycie co do treści swojej pokatalogowanych, tak iż zarząd, gdy potrzebuje zasięgnąć wiadomości o stanie któregoś z przedsiębiorstw, w ciągu dnia i nawet paru godzin ma wszystkie potrzebne szczegóły. „Studya" są zbierane od ćwierci wieku przy pomocy filij i stanowią materyał pierwszorzędnej wartości dla poznania stanu przemysłowego chwili obecnej—kto dostałby się do niego, zdołałby napisać przyczynek do rozwoju sił wytwórczych naszej doby, jakiego nadaremnie poszukiwaliśmy w dzisiejszem piśmiennictwie ekonomicznem.

Powyższe dane dają nam obraz środków, z których nowoczesne przedsiębiorstwa kredytowe korzystają. Ale nietylko w zakresie stosunków finansowych znajdujemy tam nowe wzory. Nawet samo urządzenie techniczne gmachu, w którym taki olbrzym posiada swoje pomieszczenie, przedstawia bardzo wiele ciekawego. Pod podłogą szklaną parteru idą dwa piętra suteryn. Pomieszczono tam własną drukarnię, zatrudniającą około dwudziestu zecerów: drukują i odbijają około dwóch tysięcy kalibrów listów korespondencyjnych, kart pocztowych, kopert, prospektów itd. Motor, o sile 160 koni, wytwarza elektryczność i wprowadza w ruch pompy, dostarczające dziennie sto metrów sześciennych wody dla mycia podłóg itd. i drugie tyle dla poruszania wind. Wogóle posiadanie wody stanowi przedmiot nieustającej pieczy dla zarządu technicznego. Chociaż usunięto z gmachu materyały palne i nadto ustanowiono specyalne posterunki dzienne i nocne, przecież nie poprzestano na tych ostrożnościach i nagromadzone olbrzymie zapasy wody dla obrony miliardów od pożaru. Nie licząc kranów w piwnicach, prawie całe

czwarte piętro budynku zamieniono na jezioro, zawierające 400 tysięcy litrów wody. W potrzebie w bardzo krótkim przeciągu czasu te 8,500 skrzyń, zawierających depozyty i papiery własne, znajdą się pod wodą. Wszystko co każdy ongi przechowywał w domu, co włościanin zakopywał do ziemi, a więc kruszce, klejnoty papiery rodzinne, dowody własności, walory, wszystko to znalazło schronienie w piwnicach „Kredytu lyońskiego“ i jest zabezpieczone na wypadek pożaru. A skarbiec depozytowy jest rozmiarów bardzo znacznych. Około 85 tysięcy właścicieli, zamiast przechowywać walory u siebie w domu, odcinać własnoręcznie kupony i obawiać się złodziei, powierzyło to czynności rozpatrywanej firmie. Znajduje się tam blizko trzy tysiące rozmaitego rodzaju akcyj, obligacyj, papierów państwowych w liczbie 7 milionów sztuk, przedstawiających pospołu wartość nominalną 2½ miliardów franków.

Nie mieliśmy zamiaru wyczerpać kwestyi. Pragnęliśmy jedynie zwrócić uwagę na nowe wzory, które powstają w życiu ekonomicznem społeczeństw nowożytnych, a które były niemożliwe jeszcze w pierwszej połowie stulecia obecnego. Zjawia się organizacya złożona, wymagająca zwartego a systematycznego działania pojedynczych części swoich. Niepowodzenie spotkałoby każdego, ktoby taką machinę zapragnął odrazu postawić na stopie dzisiejszej. Doskonalono ją w ciągu paru dziesiątków lat, doświadczenie codzienne stwarzało mechanizm coraz bardziej skomplikowany i jednocześnie przyuczało ludzi do spełniania wymaganych czynności. Podział pracy zrobił swoje. Ten kto dzisiaj wstępuje na służbę do takiej instytucyi, po paru tygodniach nabywa wprawy — machina działa pod naciskiem własnego pędu i tradycyi.

J. W.

W DALI.

Łódź. *Goniec* donosi, iż wszyscy właściciele browarów w okręgu przemysłowym łódzkim zapisali się na członków protektorów kursów piwowarskich w Warszawie, przyczem zadeklarowali piśmiennie opłacać na utrzymanie ich po rs. 1 k. 50 od tysiąca rubli podatku akcyzowego. — Warszawskie Tow. hygieniczne projektuje założenie w Łodzi oddziału. Pewna część mieszkańców tutejszych wniosła deklaracye o przyjęcie ich w poczet członków i, jak się dowiaduje *Goniec*, zapisano ich na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa. Pierwsze to grono członków Łodzian składa się z 10 osób.

Mińsk. Zawiązany niedawno syndykat przy mińskiem Towarzystwie rolniczem rozwija się dość pomyślnie. Pierwsze półrocze istnienia przyniosło dość znaczny niedobór przeszło 5,000 rs. a więc prawie $^1/_{10}$ kapitału obrotowego. Zrobiono wszakże dość dużo: zawiązano stosunki handlowe na szerszą skalę, wynaleziono drogi zbytu, które usuną kosztownych pośredników. Akcyonaryuszów syndykat liczy obecnie około 160. Przy Tow. rolniczem powstały dwie nowe sekcye: hodowli bydła i hodowli koni. Obie mają na celu podniesienia obory i stajni i zachęcanie ziemian do racyonalnej hodowli. Na czele pierwszej stoi p. Albert Tórczyński, druga zostaje pod kierownictwem p. Grabowskiego. Dzięki też staraniom Tow. rolniczego, ministeryum rolnictwa i dóbr państwa przysłało już w maju instruktora, który udziela wskazówek co do wyrobu produktów nabiałowych. Instruktor rozpoczął już swą działalność w pow. Nowogrodzkim i Słuckim. Sto kilkudziesięciu ziemian wyraziło chęć korzystania z jego wskazówek. Zasługują też na uwagę obrady komisyi wydelegowanej od Towarzystwa rolniczego, w celu rozstrzygnięcia kwestyi, jaki rodzaj szkół rolniczych dla kobiet byłby najbardziej obecnie pożądanym dla kraju tutejszego. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zwróciło się z tem zapytaniem do Towarzystwa rolniczego i przysłano program czterech typów szkół dla kobiet. Jest to kwestya wielkiej wagi, bo rzeczywiście niema wcale kobiet fachowo wykształconych w gospodarstwie kobiecem chociażby na małą skalę. Komisyi przewodniczy p. Wilhelm Jelski, a w skład jej wchodzą trzy kobiety: Stefanowa Wańkowiczowa, Eugeniuszowa Kowalska i Eustachowa Łubańska. Istnieje też projekt założenia stacyi rolniczo-analitycznej, a także Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego, instytucyi któraby skutecznie do walki z bankami akcyjnymi stanąć mogła. Te ostatnie — pisze korespondent *Gaz. Pols.*— są bardzo uciążliwe dla ziemian i nie znają żadnych ulg i wyjątków. Zadłużenie własności ziemskiej w bankach specyalnych wzrasta z każdym rokiem. „Jest to jak gdyby sieć pajęcza, opasująca dokoła majętności ziemskie i wysysająca z nich soki żywotne. Warunki, na jakich banki rzeczone udzielają kredytu, przy małym bardzo obecnym dochodzie z ziemi, są tak przygnębiające, iż niema prawie wypadku, aby się z niego otrząsnąć było można. Przeciwnie, raz zastawiony w banku majątek, coraz głębiej wpada w długi i ostatecznie wchodzi na listę wystawionych na sprzedaż.“ Już przed kilku laty p. E. Kowalski w mińskiem Towarzystwie rolniczem zwrócił uwagę na potrzebę szukania kredytu łatwiejszego lub zmuszenia banków do pewnych ustępstw. Przedsięwzięta podówczas kampania bankowa pewne rezultaty przyniosła. Na ostatniem zebraniu rolniczem znowu poruszano tę kwestyę, a wydelegowana w tym celu komisya doszła do wniosku, iż ratunek jodyny jest w stworzeniu Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego. Statut tej instytucyi jest obecnie opracowywany przez komisyę. Miasto postanowiło zaciągnąć olbrzymią pożyczkę, wynoszącą rs. 1,570,000 w celu pozbycia się mniejszych i uciążliwszych należności, a także poczynienia pewnych ulepszeń w mieście, głównie rozszerzenia sieci wodociągowych. Kwestya kanalizacyi miasta wciąż jest jeszcze na porządku dziennym i hr. Czapski, prezydent Mińska, nie traci nadziei, iż się da ona w przyszłości wykonać. W tym celu sporządzany jest teraz plan niwelacyjny miasta. — W sprawie wprowadzenia ziemstw w guberniach zachodnich wypowiedziano już mnóstwo najsprzeczniejszych uwag. Obecnie w *Birż. Wied.* zabrał głos „lekarz B.,“ którego wywody godne są uwagi. „Czy będzie lepiej, czy gorzej?“ To są pytania, które obecnie dają się słyszeć na wszystkie strony. Włościanie mówią tylko o naczelnikach ziemskich i melancholijnie dodają: Wiadomo, naczelnik, to taki, jak się zdarzy. Autor listu zaznacza, że wobec zamierzonego ziemstwa „typu specyalnego“ nie umie odpowiedzieć na pytanie, czy będzie gorzej, czy lepiej? Ale ponieważ zna dokładnie stan oświaty ludowej i służby zdrowia w guberniach, posiadających samorząd ziemski od lat 30 przeszło, więc zatrzymuje się głównie nad temi dwiema sprawami: W guberniach zachodnich oświata jest w złym stanie, bo szkół mało, a nauczyciele pobierają po 12 rs. 50 kop. na miesiąc i mają po 100 uczniów do nauki. W takich warunkach wiele zdziałać nie można i źle się stanie, jeśli „ziemstwo typu specyalnego“ nie będzie miało praw ziemstw normalnych, które tak energicznie i skutecznie krzątają się około krzewienia oświaty pośród ludu. Stan służby zdrowia autor maluje w sposób następujący. Powiat Borysowski gubernii Mińskiej ma 220,136 ludności, w tej liczbie prawosławnych, mających prawo do żądania pomocy lekarzy zwanych wiejskimi 172,132. Dla nich są tylko dwa szpitale w (Mściżu i w Łosznicy). Leczyły się w nich w r. 1898 ogółem 184 osoby. Na powiat jest 2 lekarzy wiejskich, którzy na lekarstwa mają po 100 rs. rocznie. Oczywiście lekarz nie może ani odwiedzić wszystkich wsi, ani udzielić lekarstw potrzebnych. Z dyfteryto i innych chorób mrą dorośli i dzieci bardzo licznie, a są wsie, do których lekarz nie mógł zajrzeć ani razu, bo nie ma czasu. Felczerów jest dużo, ale to pomoc niepewna. Akuszerek niema wcale. Uważałem za właściwe przypomnieć o tym stanie rzeczy — mówi „Lekarz B.“ — obecnie, gdy ludność włościańska kraju jest w przededniu reform. Ma to być, ze względu na wyjątkowe położenie kraju, wprowadzony samorząd ziemski z różnemi ograniczeniami, tj. bez ziemstw powiatowych, zarządów itp.; należy życzyć, żeby powołując się na taką konieczność, nie wyrządzono krzywdy ludności włościańskiej przez wyjście z pod zakresu działalności ziemstwa tej lub owej poważnej sprawy. Byłoby to wcale niepożądanem w sferze oświaty i służby lekarskiej. Że zaś ziemstwa pracują w tej mierze bardzo umiejętnie i pomyślnie, zbyteczna dodawać.“

Petersburg. Prasa rosyjska rozsiała pogłoskę, jakoby do porto Arthura w Chinach mieli być wysyłani przestępcy z mocy wyroków sądowych. Z tego powodu *Now. Wr.* twierdzi, że „zadania wszechświatowe nowych posiadłości rosyjskich na brzegach oceanu Spokojnego chyba wykluczają myśl stworzenia tam warunków, przypominających Sachalin! Przeciwnie — należy tam skierować zdrowe siły narodu rosyjskiego, stworzyć silne moralnie i fizycznie kadry pionierów narodowości rosyjskiej na dalekim Wschodzie. — Pogłoska o nadużyciach przy budowie kolei Moskiewsko-Archangielskiej, jak piszą *Mosk. Wied.*, potwierdza tą okoliczność, iż po złożeniu w kontroli państwowej sprawozdania z rewizyi, dokonanej przez członka tej kontroli, obecnie wyjechała komisya do szczegółowego zbadania stanu rzeczy na miejscu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z rozporządzenia Gen.-Gubernatora warszawskiego utworzono pod przewodnictwem ks. Oboleńskiego komisyę specyalną, która ma rozstrzygnąć różnego rodzaju sprawy szpitalne w Królestwie polskiem, a między innemi kwestyę użytkowania sum, pozostałych z pięciokopiejkowego podatku szpitalnego, pobieranego na rzecz miejscowych instytucyi dobroczynnych.

Prasa. Gazeta *Ruś* otrzymała pierwsze ostrzeżenie na artykuł hr. Lwa Tołstoja p. t. „Głód czy nie głód?“

Szkoły. Przyjmowanie słuchaczów do specyalnych zakładów naukowych wyższych rozpocznie się od roku bież. według programów nowych, znacznie ułatwionych, które już opracowało ministeryum oświaty. Ułatwienia dotyczą głównie matematyki.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło osobnym okólnikiem wszystkie okręgi naukowe, że z prawa na utrzymanie szkół średnich realnych z przywilejami rządowych, korzystać mogą osoby nawet nieposiadające potrzebnych kwalifikacyj naukowych, z warunkiem jednak, ażeby dyrektorem był kandydat, posiadający wszelkie kwalifikacye naukowe i pedagogiczne. Co się zaś tyczy strony moralnej osoby pragnącej utrzymywać zakład naukowy, ministeryum oświaty zastrzega szczegółowe zbadanie przed wydaniem pozwolenia.

Dobroczynność. Przemysłowiec warszawski, p. W. E. Rau, ofiarował 30,000 rs. na rzecz domu sierot po robotnikach fundacyi bar. Lenvala, z warunkiem, ażeby z procentu od tej darowizny utrzymywano 10 sierot chłopców, wskazanych przez ofiarodawcę.

— Zatwierdzono ustawę „Domu pracy“ pod opieką Towarzystwa dobroczynności w Lublinie.

Konkursy. *Gazeta Rolnicza* ogłosiła konkurs na temat „Uprawa mechaniczna roli odpowiednia do gatunku gleby. Najwłaściwsze narzędzia do uprawy.“ Praca przeznaczona jest dla ludu. Nagroda 150 rubl.

— Międzynarodowy konkurs na wynalazek masy do zapałek nie zawierającej fosforu białego, trującego i łatwo zapalnego w niskich temperaturach, ogłosił rząd belgijski. Od wynalazku jednak — aby uzyskał wysoką nagrodę 50,000 fr. wymagane są bardzo trudne warunki. Masa ta ma dawać zupełne bezpieczeństwo, tak przy fabrykacyi jako też przy transporcie, opakowaniu, wypakowywaniu, noszeniu przez spożywców i zapalaniu, zarazem ma się zapalać przy potarciu o jakąkolwiek powierzchnię nieprzygotowaną, nawet o drzewo, ma być chemicznie stałą, to jest nie ulegającą rozkładowi i zmianom; oprócz tego ma ekonomicznie i finansowo nadawać się do fabrykacyi na wielką skalę. Zgłoszenia w ministeryum przemysłu i pra-

cy w Brukselli. W razie nie dojścia do skutku na ten termin, konkurs może być przedłużony.

Wystawy i zjazdy. Zjazd lekarzy i przyrodników w r. b. już stanowczo nie dojdzie do skutku z braku czasu do należytego przygotowania.

— W Prylukach od dnia 10 do 20 września trwać będzie wystawa rolnicza i przemysłu włościańskiego. Urządza ją miejscowe Towarzystwo rolnicze. Udział brać mogą wytwórcy z gub. Czernihowskiej i Połtawskiej.

Koleje i komunikacye. Towarzystwo kolei Władykaukaskiej, jak donoszą dzienniki petersburskie, projektuje budowę ogromnej linii kolei Carycyn Orenburg-Omsk-Czelabińsk długości około 1 500 wiorst. Nową kolej dojdzie do Azyi środkowej i połączy północ z krańcami wschodnimi, dzięki czemu towary azyatyckie będą wwożone do Europy przez Noworosyjsk.

— W ostatnich czasach wielu kupców i fabrykantów występowało do zarządu kolei państwowych z podaniami o pozwolenie na budowę własnych specyalnych wagonów do przewozu piwa mięsa, ryb, nabiału, nafty i innych artykułów. Wszyscy interesanci otrzymali odpowiedź odmowną, gdyż w ministeryum komunikacyi roztrząsany jest obecnie projekt budowy takich wagonów na własny rachunek. Jeżeli projekt ten będzie zatwierdzony, wszystkie wagony prywatne, nie wyłączając cystern naftowych, dotąd kursujących tylko za opłatą przejazdu, mają być wykupione na własność kolei państwowych. (*Słowo*).

Przemysł i handel. Sprzedaż dóbr ks. Hohenlohe kupcowi z Odesy, Trabuttiemu, nie doszła do skutku. Natomiast spółka kupców niemieckich ma podobno nabyć majątki Naliboki i Lubcz z olbrzymimi lasami w pow. Oszmiańskim i Nowogródzkim. Dobra te mają 31,000 dziesięcin obszaru, a cena ich wynosi 2,650,000 rubli. Na Werki niema jeszcze kupca.

— Sklep spożywczy na wielką skalę otwiera w Kijowie grono obywateli ziemskich z gubernij południowo zachodnich. Właściciele ziemscy z tychże gubernij, oraz z południowych, mają zamiar urządzić domy komisowo-handlowe do sprzedaży owoców i wogóle produktów rolnych w Warszawie, Kijowie i innych miastach.

Zmarli. Alfred Obaliński, w Krakowie, profesor chirurgii w uniwersytecie Jagiellońskim.

OFIARY.

Opuszczając serdecznych i życzliwych mi kolegów w Łodzi, składam rs. 25 na cele dobroczynne do uznania Szanownego Redaktora. *J. G.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Іюля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.